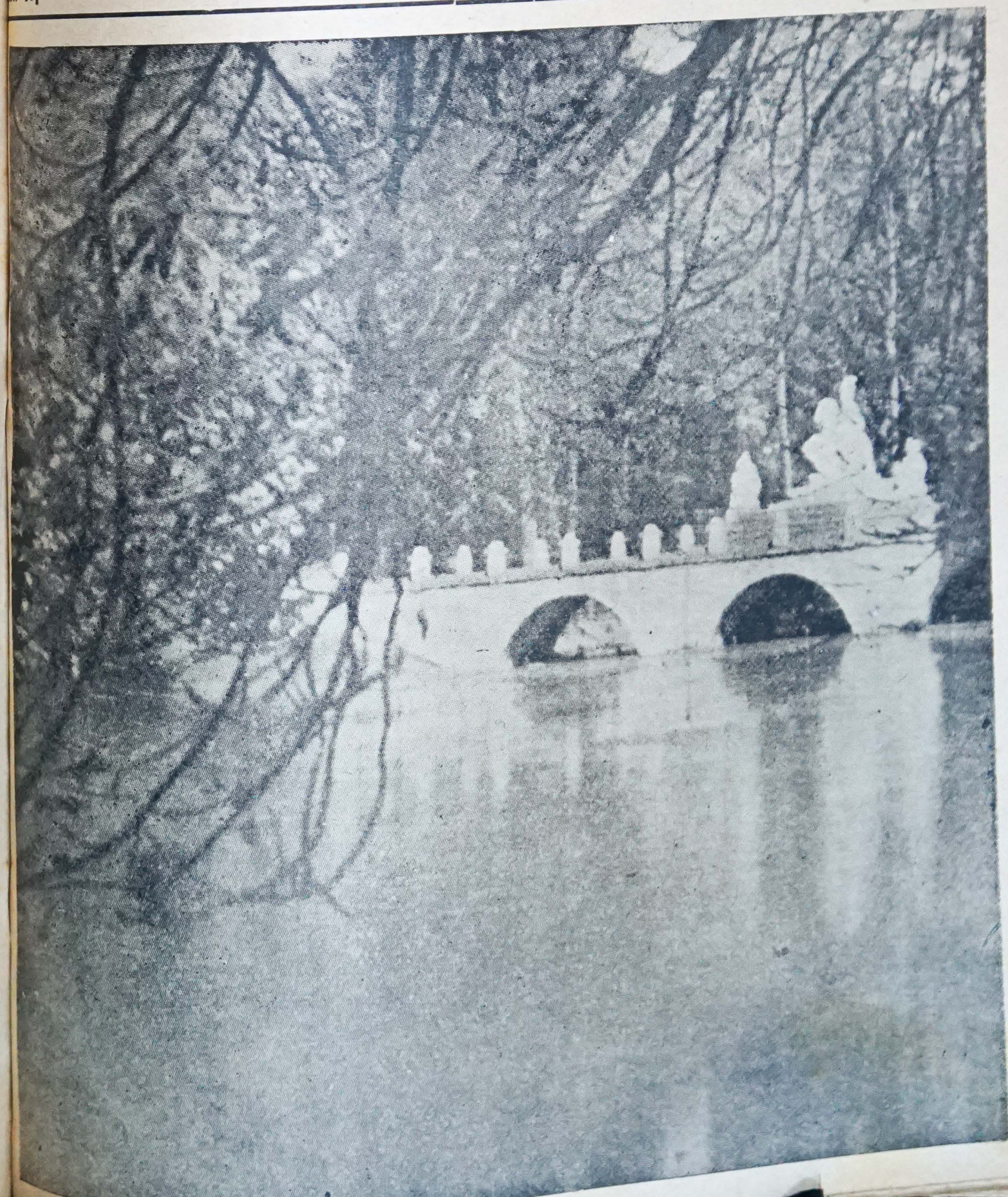


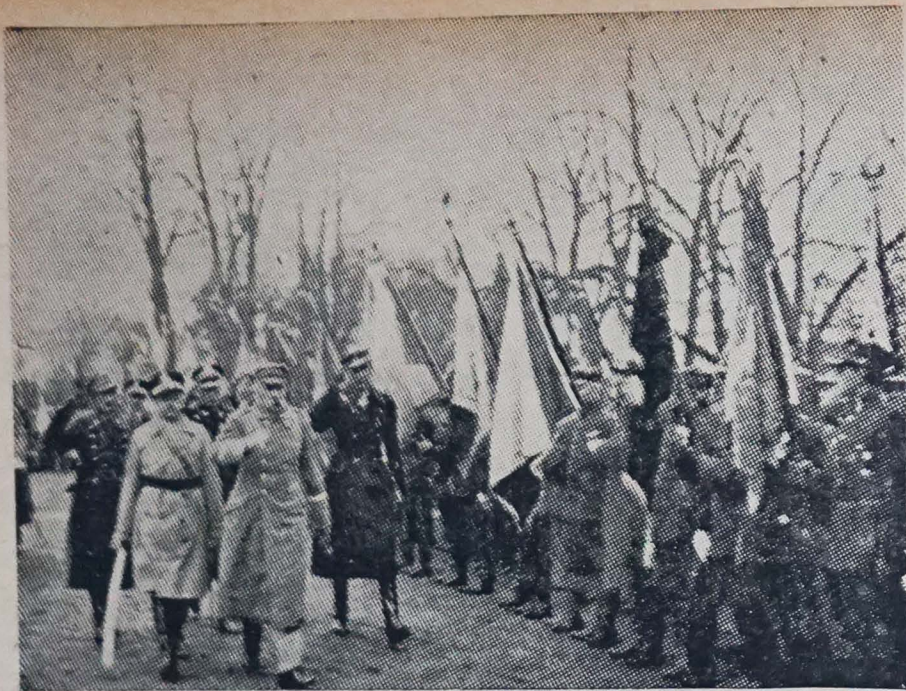
Chotnicka

PTSMO P.S.K.

Listopad 1945 r.

Nr 11 (26)





Marszałek przechodzi przed frontem pocztów sztandarowych

Rozumiał Piłsudski, jak mało kto w Polsce, że hasła, to tylko pewne formy postępowania, że żaden z kowali hasel świętości ich nie uznaje. Rozumiał, duszę mając ponad wszelki wyraz przytomną, zbrodnię ślepoty hasel oraz nieszczyście honorowych pozorów...

Rozumiał zwłaszcza tę manię honoru w Polsce, która pozwala zrzucić z barku najcięższy obowiązek...

Rozumiejąc to wszystko, zaczął po prostu stwarzać tę ideologię Ojczyzny, która z potrzeby i praw wyrasta — i rozpętał przeciw sobie to wszystko co było pod czarem panującej ślepoty, czy zacieńczenia, czy przesądu... Swoi wyrzucali mu, że jest kosmopolitą, obcy — że narodowcem, patriotą — że socjalistą, socjaliści, że patriotą... Zarzucali mu właściwie wszyscy wszystko o tyle słusznie, że czuli w Piłsudskim, jako w ogromnej potencji, która wszystko co polskie w siebie włącza — *niebezpieczeństwo prawdy*...

Jego socjalizm nie zawsze wygadzał socjalistom, jego narodowość zbyt się wymagająca widziała narodowcom, i rzecz można, wszystkim hasła grały w tym wielkim człowieku, stopione w jedno rozumienie Polski...

Tu sięgamy najgłębszej tajemnicy brygadiera, która nie da się wyjaśnić ani rodowodami, ani pochodzeniem ze starej szlacheckiej rodziny, ani odblaskiem wspomnień z 63 roku, ani żadnymi wpływami...

Jak się ma talent słowa, myśli, muzyki, barwy — tak się ma i ten

najśłodszy talent, jaki wydestylować się może z soków ziemi i oddechu niebiosów — talent rozumienia Ojczyzny... Talent ów, gdy Polska jest jego treścią wymaga cnót osobliwych. Należy mieć upór i cierpliwość przerażającą... Należy być ustawicznym fakiem Rzeczywistości i w splocie najcodzienniejszym nie widzieć jej, nie pamiętać, nie znać — tak jak to umiał Piłsudski. — To znów najcodzienniejszymi szczegółami, mającą się stać rzeczywistość uprzedzać i istotę jej wywoływać z nicości...

Powiedziałem wyżej — *niebezpieczeństwo prawdy*...

Widać że było już dobitnie u Piłsudskiego-mówcy...

Pamiętam go, gdy kiedyś na zjeździe młodzieży forsował sprawę tajności posiedzeń wojskowych. Doprawdy, człowiek ten sprawiał wówczas wrażenie znakomitego szermierza, walczącego z

bańkami mydłanymi... Ze ślicznymi bańkami, których cały rój wypuścili błyskotliwi mówcy... Jakąż kolosalną cierpliwość wykazał wtedy, jaki upór wiary w zdrowy rozum słuchaczy... Nie można powiedzieć, iż zwalczał argumenty. One same nikły przed nim, jak śnieg topnieje w słońcu... Piłsudski, jako mówca, ma jeden wielki dar — sama jego obecność krępuje komediantów... Widziałem go, przemawiającego na kongresie partii robotniczej w Krakowie. Szumne, gwałtowne brawo zgasiło nagle, gdy się ukazał... Był wtedy żywym wyrzutem pokoju Polski — bo człowiek ten miał tragiczne szczęście być srogim wyrzutem pokoju Ojczyzny — i czuło się w sali obawę. Obawę tłumu przed kimś, kto w imię najwyższego prawa kiedyś rozkaże...

Niebezpieczeństwo prawdy... I poraz trzeci, gdyśmy się zebrali, wycieńczeni, skrwawieni po Łowczówku, po którym każdemu, kto tę bitwę przetrwał, kilka lat życia przybyło... Czy w nas było znać wtedy w Łąpnicy, gdyśmy tam stali w ten nijaki, siwy dzień w opuszczonej szkole zebrani na zgromadzenie oficerskie — jakąś butę, czy było znać za śmiałe poczucie zasługi, czy Komendant uprzedzał jakiś nasz dorobek zbyt głośnej sławy — dość, że się wdarł w serca nasze kilku słowy tak — iżeśmy w jednej chwili pojeli... Łowczówki mogą być dniem codziennym, i to jest nic, jeśli Sprawa żąda więcej...

Juliusz Kaden-Bandrowski

(„Józef Piłsudski. Piłsudczycy”) Warszawa 1921; str. 7-12.

TACZKI

Jest chwila, gdy słońce zmęczone przystanie na chwilę z taczkami
Pełnymi żółtego piasku... I niebo odpocznie na moment...
Odetchną na chwilę drzewa... Poruszają gałęziami...
Rzeźwiący powiew nachyli zbóż płowiejącą słomę...

I cisza ogromna nastanie na niebie i ziemi gorącej —
Na wodzie zawirują fale jak ryby wesole —
Aż wreszcie znów z westchnieniem po taczki schyli się słońce
I pchać je pocznie pod górę oślepiającym kotem...

Ravensbrueck, 1943

Zofia Górska

GROŻBY

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Niedźwiedzia nie ugłaskano

Jakże to daleki i jakże niedawny czas, gdy roztropni politycy, wielcy mężowie stanu tłumaczyli nam, że dlatego odbiega się Polskę od wschodniej, że dla niej Polacy się za linią Curzona, tego opowiadają się za linią Curzona, ponieważ uznają taką politykę za słuszną i sprawiedliwą. Wymyślano wtedy strategiczne, etniczne, nawet historyczne i moralne, byle by tylko ukryć prostą prawdę, że wielkie demokracje zachodu kapitulowały krok po kroku przed Rosją Sowiecką, rzucając jej na pożarcie coraz to nowe narody i terytoria. Więcej, poczytywano Polakom za brak rozumu politycznego i taktu, gdy nie chcieliśmy w tej hekatombie, na rzecz sowieckiego molocha składanej, brać dobrowolnego udziału, a mężów stanu za nią odpowiedzialnych nie wahał się nazwać współwinnymi zbrodni.

8 listopada 1945 brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin stwierdził: „Zadość uczyniliśmy niemal wszystkim żądaniam, jakie kiedykolwiek nam postawiono. W Moskwie, Jałcie i na wszystkich pozostałych konferencjach nikt nawet przez sen nie przypuszczał, aby miały nastąpić dalsze terytorialne żądania, poza małymi korekturami tu i ówdzie — regulacji cieśnin, portów rzecznych. Każdy sądził, że już w s z z y s t k o u s t a p i o n o.”

Nie tylko terytorialne ustępstwa nie zaspokoili żądań sowieckich. W swej mowie z 8 listopada Churchill narzekał: „W czasie wojny oddaliśmy Rosji tajemnicę radaru i wielu innych ważnych wynalazków. Nie było jednak żadnej uwagi godnej w z a j e m n o s c i z e strony nauki rosyjskiej”. Toteż — rozumował Churchill — nie można wpuścić Rosji do tajemnic arsenałów anglosaskich, bo „gdyby okoliczności odwróciły się i gdybyśmy my lub Amerykanie prosili o podobny dostęp do arsenałów sowieckich, nie udzielono by go nam... Nie możemy się zgodzić na rosyjskie żądania, aby rosyjscy specjaliści i uczeni odwiedzali arsenały amerykańskie dla poznania tajemnicy bomby atomowej. Powróciłiby oni ze znajomością osiągnięć takiego stanu rzeczy nie może być niedoceniane.”

Obrona własnego gardła

Dość łatwo znaleźć w prasie brytyjskiej dowody na to, że żądaniami sowieckimi, które szczególnie zdenerwowały brytyjskich polityków i które uznano za leżące poza zakresem możliwych ustępstw, były m. in. sowieckie pretensje terytorialne w rejonie Morza Śródziemnego, z żądaniem wyłącznego sowieckiego mandatu nad Trypolitanią. Rosyjskie pretensje terytorialne zbyt przybliżyły się do istotniejszych arterii brytyjskiego imperium, by można je nadal bezkarnie zaspokajać. Jak długo sowieckie żądania terytorialne tyczący się Morza Śródziemnego europejskiego, jak długo można było je zadowalać, oddając Moskwie na łup Polskę czy inny kraj, tak długo prowadzono politykę ustępstw cudzym kosztem.

Lecz gdy sowieckie żądania podeszły do arterii imperium brytyjskiego, musiał się zmienić język brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, który oświadcza: „Muszę powiedzieć, że po tych wszystkich ustępstwach, nie wzięwszy ani cala cudzego terytorium, ani nie zażądawszy go, nie można nie stać się trochę podejrzliwym, gdy jedno z wielkich mocarstw chce dobrać się do samego gardła brytyjskiej wspólnoty narodów, która nikomu nie wyrządziła żadnej krzywdy, a tylko walczyła w tej wojnie. Sądzę, że musimy położyć kres tym żądaniam zmian terytorialnych... Takie zmiany w ciągu wieków bardzo nieznacznie podnosiły bogactwo narodów lub ich bezpieczeństwo”.

Święta prawda, niestety zauważona dopiero, gdy nóż przybliżył się do własnego gardła.

Polityka sowiecka, zmierzająca konsekwentnie do wyłączenia we własnej sfere wpływów i do zapobieżenia jakiegokolwiek zorganizowaniu sfery wpływów mocarstw anglosaskich w Europie, napotkała tym razem na zdecydowaną kontrakcję. Wypowiedzi anglosaskich mężów stanu tym razem nie pozostały dłużne Molotowowi w tonie groźby.

Minister Bevin w swej mowie, nawołującej do rzucenia „kart na stół”, oświadczył: „Rząd brytyjski ma prawo współpracować w bloku z zachodnimi z Francją, Holandią, Belgią, krajami Skandynawskimi, lub innymi krajami, które łączą z Wielką Brytanią węzły przyjaźni kulturalnej, które były naszymi

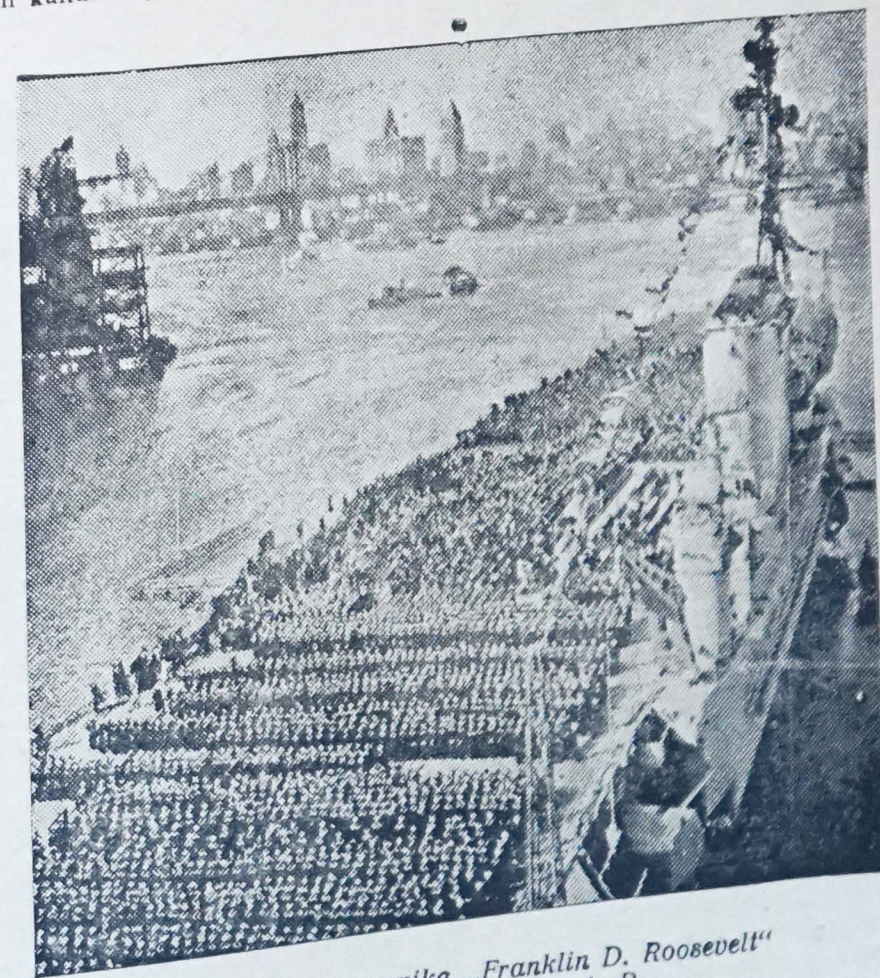
historycznymi współtowarzyszami i uznają ten sam typ demokracji co Brytyjczycy. Mówię przeto, że mam tytuł w imieniu mego rządu do posiadania dobrych przyjaciół na mojej drodze, po prostu tak samo, jak każdy inny kraj ma prawo posiadać swoich przyjaciół na swojej drodze”.

„Manchester Guardian” po mowach Bevin i Churchilla, ocenił brytyjską politykę jako dążenie do utworzenia bloku z dominiami i Stanami Zjednoczonymi, utrzymania w tajemnicy bomby atomowej i wspólnego stawiania oporu reszcie świata. „Polityka Churchilla utrzymania pokoju ma, zdaje się, polegać na wydaniu rozkazów przygotowania na Święta Bożego Narodzenia dostatecznej ilości bomb atomowych”.

Niektóre ustępy przemówienia Churchilla brzmiały jednak, jak zawołania bojowe: „Zawsze będziemy maszerować u boku Stanów Zjednoczonych, a siły nasze dodamy do ich siły”.

Sformułowania angielskich mężów stanu są ograniczoną pociechą dla tych narodów, których kraje już znajdują się pod sowiecką okupacją, jakkolwiek samo wzmocnienie bloku zachodniego jest oczywiście jak najbardziej pożądane.

Mowa prezydenta Trumana, formułująca program zagranicznej polityki Stanów Zjednoczonych, została poprzedzona przez szereg oświadczeń amerykańskich mężów stanu, wskazujących na potrzebę utrzymania przez Stany potężnej siły zbrojnej jako narzędzia pokoju i obrony Ameryki przed powtórzeniem się niespodzia-



Na pokładzie krążownika „Franklin D. Roosevelt” w dniu floty St. Zjedn. A. P.



Na wyspie Jawie — rewolucje i walki

nek w rodzaju Pearl Harbour. Sam prezydent zapewnił, że Stany nie pragną żadnych nabytków terytorialnych poza utrzymaniem baz, że użyją swej potęgi wojennej dla utrzymania pokoju, by wszystkie narody miały możliwość wybrania sobie własnych rządów, że nie uznają żadnego rządu „narzuconego jakimkolwiek narodem siłą przez jakiegokolwiek mocarstwo”. Sformułowania te mogą oczywiście stanowić pogrzebanie koncepcji sfery wpływów, jeżeli w ślad za nimi pójdzie akcja śmielsza niż dotychczasowa interwencja w Bułgarii czy na Węgrzech.

Posiadanie bomby atomowej i całej ogromnej potęgi militarnej traktują Stany Zjednoczone według słów Trumana — jako „święte powiernictwo”.

Temu świętemu powiernictwu i konsekwencjom zeń wynikającym będą poświęcone rozmowy Attlee — Truman. Poprzedziła je mowa Mołotowa, w której słyszeliśmy, że „my (Rosja Sowiecka) również będziemy mieli energię atomową i wiele innych rzeczy”; dowiedzieliśmy się raz jeszcze, że „narod sowiecki wybaczył Europę od faszyzmu” i, że „w czasach obecnych nie może być tajemnic, które mogłyby być własnością jednego państwa lub grupy państw”. Główny tenor przemówienia wyraził się w zdaniu: „Bomba atomowa nie może być utrzymana w tajemnicy”, bowiem: „Użycie bomby atomowej wykazało jej ogromną siłę destrukcyjną. Lecz nie wypróbowano dotychczas energii atomowej jako metody zapobieżenia agresji i zabezpieczenia pokoju”.

Im szybciej wojna tym... lepiej
W takiej atmosferze sformułował swe uwagi na temat bomby atomowej znany uczonec angielski Russel. Wychodząc z założenia, że ani Truman ani Stalin nie pójdą na politykę utworzenia władzy międzynarodowej władającej wszystkimi istniejącymi bombami atomowymi i zakładami ich produkcji, doradza pójść po linii zadowolenia amerykańskiego nacjonalizmu i uznania amerykańskiego przewodztwa. „Rząd amerykański powinien pójść drogą aliansów wojennych, do których mogłyby przystępować wszystkie pragnące tego państwa...”. Jeżeli do sojuszu z Stanami Zjednoczonymi przy-

stąpi Wielka Brytania „cały świat, poza Rosją i jej satelitami, dołączy do tego aliansu. W rezultacie powstanie blok na tyle silny, że pokój światowy będzie zabezpieczony”. Być może, że z czasem dołączy doń i Rosja Sowiecka, „jako że Rosja nie będzie miała żadnej szansy prowadzenia wojny przeciwko takiemu aliansowi. Jeżeli jednak Rosja zdecyduje się zaryzykować wojnę, po jej klęsce może jeszcze utrzymać się cywilizacja w mniej zaludnionych rejonach zachodniej półkuli nawet, jeżeli Rosja ma bombę atomową. Jeżeli by wojna miała wybuchnąć wkrótce, szkody mogłyby być znacznie mniejsze, niż gdyby do wojny doszło w późniejszym czasie”.

Wańka rabuje

Nie tylko na bombę atomową liczą mężowie stanu w nadziejach na powstrzymanie kroczącego na zachód imperia- lizmu sowieckiego. Ostatnio dużo uwagi poświęcają obserwatorzy polityczni żołnierzowi armii czerwonej, łącząc wiele nadziei z przemianami, jakim ulega czerwono-armiejca, który zetknął się z zachodem jako zwycięzca i okupant. Prasa powtarza zdanie ukute na Węgrzech: „Stalin zrobił dwa wielkie błędy — pokazał Europejczykom Rosjan a Rosjanom Europę”.

W amerykańskim „Newsweek” czytamy m. in.: „Prestiż sowiecki w Europie spada razem z upadkiem morale i dyscypliny wojska sowieckiego... Oficerowie armii czerwonej byli dobierani wyłącznie na podstawie kryterium osobistej dzielności... Dziś ci sami ludzie dowodzą nad swymi żołnierzami w zdobywaniu zaopatrzenia, rabunkach i napadach tak, jak dowodzili nimi na polu bitwy... Przeciwny żołnierz sowiecki podejrzewa każdego Amerykanina i Anglika, że jest przedstawicielem kapitalizmu... Sympatie dla armii czerwonej były bardzo duże w armii amerykańskiej i brytyjskiej, gdy posuwały się one poprzez Niemcy dla spotkania z armią czerwoną. Dziś te sympatie są bardzo małe u wszystkich, którzy spotkali się z Rosjanami, a wina leży całkowicie po stronie Rosjan”. Przytacza się głosy żołnierzy angielskich

i amerykańskich, którzy zastanawiają się podobnie jak politycy, czy też „krokodylowi nie dano zbyt wiele dzieci na pożarcie”, a nawet uskarżają się, że „Ike (Eisenhower) każe nam traktować Rosjan tak samo jak Anglików, ale istnieje różnica pomiędzy nauczeniem się wypijania morza herbaty a — morza wódki...”

„W armii sowieckiej przejawia się wielki upadek dyscypliny; większy w Austrii i w Polsce, mniejszy wśród wojsk stacjonowanych w Czechosłowacji; większy wśród oddziałów piechoty, mniejszy wśród wojsk zmotoryzowanych”. Korespondenci stwierdzają ponadto, że dla wojsk sowieckich wkroczenie do państw Europy środkowo-wschodniej było „wizytą w krainie czarów”. Skutki wynikły z tego takie, że np. w Budapeszcie i Wiedniu — „Rosjanie ograbili i poniszczyli mieszkania robotnicze ponieważ znaleźli w nich łazienki”. Korespondenci dochodzą nawet do takich wniosków, że „Wańka szybko uczy się w tych krajach — antykomunizmu”.

Narazie jednak Wańka nie tyle uczy się, ile grabi i dopuszcza się gwałtów. Zresztą grabież Wańki chociaż może bardziej dokuczliwa i bezpośrednio dotykająca przeciętnego obywatela okupowanych przez armie sowieckie krajów, jest tylko „małą psotą” w porównaniu z grabieżą rozwijaną planowo na tych wszystkich terenach przez państwo sowieckie. Moskwa stara się ściągnąć jak najwięcej łupu również z poza własnej strefy okupacyjnej. Na liście 40 zakładów, których oddania żąda Moskwa na podstawie uchwał poczdamskich, znalazły się m. in. zakłady I. G. Opel, Kruppa w Essen itd.

Chińska wojna i sowiecki łup

Podłożem ostatniego konfliktu chińskiego jest również w dużej mierze chęć zabezpieczenia sobie przez Rosję Sowiecką łupu w Mandżurii. Na podstawie umowy zawartej z Soongiem Moskwa zobowiązała się do ewakuacji wojsk sowieckich z Mandżurii. Powtarzając opinię „Time”: — „nikt nie oczekuje, że Rosjanie dotrzymają danego słowa co do liter”. Układ przewidywał, że wojska sowieckie mają opuścić Mandżurię do 15 listopada b.r. Na ich miejsce miały przyjsć wojska Czang Kai Sze. Tymczasem „oficerowie komunistyczni otwarcie oświadczają dziennikarzom amerykańskim, że mają zamiar utrzymać kontrolę nad Mandżurią, gdy wycofają się z niej wojska sowieckie”. Plan się z niej wojska sowieckie. Plan rząd Czang Kai Sze. Wojska chińskie miały lądować u styku granicy Chin północnych i Mandżurii, stąd posuwać się w głąb kraju, rozbrajając wespół z Amerykanami wojska japońskie i przejmując cały kraj pod władzę rządu chińskiego. Równocześnie od południa armie Czang Kai Sze miały posuwać się wzdłuż linii kolejowych przez znajdujące się pod władzą komunistycznych wojsk prowincje północno chińskie. Połączenie obu armii miało oddać całe Chiny, po latach cierpień, pod władzę narodowego rządu.

Posuwanie się wojsk chińskich ku północy doprowadziło jednak do otwartej wojny z chińskimi armiami komunistycznymi, których wodzowie zapowiadają, że są gotowi na prowadzenie wojny dziesięciolecinnej. Równocześnie oskarża się flotę i wojsko amerykańskie o interwencję na rzecz Czang Kai Sze. Chińskie armie rządowe, 13 i 53, lądowały swymi pierwszymi elementami na wybrzeżu prowincji Hopeh, przewiezione przez flotę amerykańską pod dowództwem admirała Barbey.

Niezależnie od tego, do czego doprowadzą toczące się pertraktacje pomiędzy przedstawicielami Czang Kai Sze i komunistów chińskich, już dziś wojska komunistyczne zniszczyły setki mil torów kolejowych prowadzących na północ. Port Dairen, który miał być umiędzynarodowiony, okazał się niedostępny dla wojsk Czang Kai Sze. Ponadto operacje komunistycznych armii w Chinach północnych dają wojskom sowieckim czas na łupienie Mandżurii. Rosjanie, jak pisze „Time”: „ogalcają wszystkie zakłady fabryczne z najlepszych maszyn i wywożą je”.

Narazie stanęły naprzeciw siebie armie chińskie, liczące ponad milion ludzi, a marynarze amerykańscy wzięli udział w pierwszych „drobnych starciach” z komunistami chińskimi.

Turcja, Iran, Palestyna, Jawa

Polityka sowiecka otoczyła Rosję wieńcem potencjalnych lokalnych konfliktów, w których, pomimo atomowej przewagi mocarstw zachodnich, nadal zachowuje postawę atakującą. Pod groźbą stałych nieomal ultimatywnych żądań pozostaje Turcja.

Kurdyjscy pasterze i chłopcy otrzymali wzmocniony zastrzyk patriotyzmu i separatyzmu lokalnego Według relacji dziennikarzy amerykańskich wojska sowieckie mogą wprawdzie opuścić Iran w obiecany terminie do 2 maja 1946 r., ale Iran może... „okazać się państwem znacznie mniejszym... Nie ma żadnych wątpliwości dla obserwatorów amerykańskich i brytyjskich, że ruch separatystyczny w północnej Persji jest popierany przez Rosjan Rosjanie, krępując ruchy regularnych wojsk perskich, dają pełną swobodę Kurdom, których bród jest przeważnie rosyjskiego pochodzenia. Nie tracą żadnej okazji, by policję perską i urzędników ośmieszyć i poniżyć”.

Równocześnie siły imperium brytyjskiego czuwać muszą nad utrzymaniem porządku w Palestynie, skąd idzie w świat nie tylko żądanie wolnego państwa żydowskiego, ale i sprzeciw arabski, wybuchający rozruchami w Kairze czy Trypolisie.

Na Jawie walka krajowców o niepodległość również wiąże znaczne siły brytyjskie, które zaangażowały się jako jedyna poważna siła aliansu w utrzymaniu porządku na wyspie, przy braku sił amerykańskich i przy bardzo nieznacznych siłach holenderskich.

Te wszystkie drugorzędne przy-

czyny poza główną, wyrażającą się w potrzebie utrzymania jakiegoś równoważnika dla 10 milionowej armii sowieckiej, zmusiły imperium brytyjskie do decyzji utrzymania na dzień 1 lipca 1946 sił zbrojnych, liczących 2,250.000., które będą stanowić jeden z zasadniczych czynników zbrojnego pokoju.

Wybory

Jesteśmy w samym środku europejskiego wyborczego kalendarza. Jeden po drugim kraje europejskie drogą wyborów decydują o formie rządów i kierunkach politycznych na czas najbliższy; decydują oczywiście tam, gdzie obca okupacja nie sprząda aktu wyborczego do wyreżyserowanej komedii. Wybory francuskie zakończyły się zdecydowanym zwycięstwem lewicy. Przedwojenne partie prawicowe z radykałami na czele poniosły klęskę zdecydowaną. Na pierwsze miejsce wybili się komuniści, uzyskując 162 mandaty, drugie zajęli socjaliści — 154 mandaty, trzecie stronnictwo de Gaulle'a katolickiej lewicy — Mouvement Republicain Populaire — 138 mandatów. Wybory potwierdziły zaufanie narodu francuskiego do de Gaulle'a i pragnienie reform społecznych. Pierwszym warunkiem, pod którym socjaliści zgodzili się na utworzenie rządu koalicyjnego, jest „przyjęcie minimum reform ekonomicznych”. Komuniści, stawiając duże żądania odnośnie tek ministerialnych, godzą się na program „umiarkowanego socjalizmu”. Obok innych zasadniczych różnic pomiędzy komunistami a pozostałymi dwoma wielkimi stronnictwami, różnią się one w sprawach polityki zagranicznej. Komuniści, wykonując instrukcje z Moskwy, są przeciwni idej bloku zachodniego. Oceniając wybory francuskie, nie można zapominać, że socjalizm francuski, odciawszy się od komunistów, przechodzi głęboką ewolucję ideową w kierunku oparcia się o wartości idealne człowieka. Ewolucja taka oczywiście wymaga czasu, aby w pełni mogła być zrozumiana i przyjęta przez szerokie masy robotnicze.

W wyborach francuskich poraż pierwszy głosowały kobiety. Zdobyły 31 mandatów, to znaczy 5%. W Stanach Zjednoczonych, gdzie kobiety mają prawo głosu od 25 lat, 2% kobiet zasiada w izbach ustawodawczych i w Izbie reprezentantów, w senacie zaś nie ma ani jednej kobiety. Kobiety francuskie, zdaje się, z miejsca mają zamiar odgrywać większą rolę. Niestety właśnie partia komunistyczna wystawiła największą ilość kandydatów-kobiet. Z pośród wybranych: 14 postanek należy do partii komunistycznej, 5 do socjalistycznej, a 7 do M.R.P.

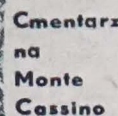
W Wielkiej Brytanii wybory municypalne dają jedno po drugim zdecydowane zwycięstwa Labour Party (wybory w Anglii i Wali na początku miesiąca dały labourystom 858 mandatów, a konserwatyści, liberałowie i niezależni utracili odpowiednio 318, 105 i 252 mandaty). Rząd Wielkiej Brytanii w wykonywaniu swego programu społecznego, po przewycięzeniu trudności strejkowych, ma pełne poparcie społeczeństwa.

Pewną niespodziankę przyniosły wybory na Węgrzech. Zwycięstwo odniosło w nich konserwatywne stronnictwo „drobnych właścicieli”. Na drugim miejscu uplasowali się socjaliści. Komuniści zdobyli tylko około 15% głosów. Dlaczego bolszewicy pozwolili na tę względnie swobodę w wypowiedzeniu się narodu węgierskiego, dlaczego wymusili tylko 15% głosów komunistycznych? Przede wszystkim dlatego, by znieść opinię międzynarodową, by ludzie świat, że w sowieckiej sferze okupacyjnej istnieje wolność. Wybory węgierskie są bowiem pierwsze. Po nich mają pójść 11. XI wybory w Jugosławii, do których, jak wiadomo, nie staje opozycja, w Bułgarii 25 listopada, w Austrii 25 stycznia, potem w Rumunii i t.d. Pozory węgierskie mają zastąpić wybory w innych krajach, w których większość czy nawet jednomyślność będzie narzucona.

Do „wyborów” można dla humoru zaliczyć również plebiscyt urządony w Mongolii Zewnętrznej, w którym za „niepodległością”, czyli za pozo-



Tak żyje i handluje dzisiejsza Warszawa



staniem pod wpływem Rosji, wypowiedziało się 483,291 Mongołów, przeciw — ani jeden. Oto ideał demokracji!

W Polsce natomiast okupacyjne władze sowieckie nie próbują zbyt skomplikowanych eksperymentów. Wbrew poprzednim zapewnieniom, powtarzanym nawet przez Stalina min. Bevinowi, że wojska sowieckie zostaną z Polski wycofane, moskiewscy władcy kazali rządowi Bieruta zaprosić garnizony sowieckie na regularną okupację, motywując ten krok potrzebą wytipienia szerzącego się w Polsce bandytyzmu. Mamy więc w polskich miastach — znanych z tradycji carskiej gubernatorów. Tym razem czerwonych.

W wielkiej rozgrywe, prowadzonej dziś przez politykę sowiecką dookoła dwu punktów głównych: bomb atomowej i udziału w kontroli nad Japonią na Dalekim Wschodzie — Moskwa nie chce mieć w Polsce stanu niepewności.

Chce i musi pilnować naród polski setkami tysięcy swoich żołdaków. Śmierć Wincentego Witos^a pozba-
wiła w ostatnich dniach Kraj jed-
nego z najwybitniejszych przewód-
ców. Wincenty Witos, mimo iż na-
zbyt widocznych nacisków, potra-
fił do końca swego życia zachować
godność polskiego męża stanu. Wię-
ziony, szantażowany, a w czasie
długiej choroby pilnie strzeżony i
przez to izolowany, w swym ostat-
nim (jakie można uważać za auten-
tyczne) odezwaniu się do chłopów
polskich wzywał Polaków do jed-
ności, strzeżenia honoru i godności
Polski, w niczym nie aprobując so-
wieckiej przemocy w Polsce.

Przeciw okupacji Polski przez wojska sowieckie rząd polski założył uroczysty protest u 24 rządów, które nadal nie uznają samozwańczego „rządu jedności narodowej”. Z protestu rządu polskiego przytaczamy ustęp, który starczy za wszelki komentarz:

„Nie było w dziejach państw niepodległych wypadku, aby rząd nie-

zależny zwracał się do obcego państwa o okupację wojskową kraju, posiadając w dodatku dostateczne wojska do utrzymania prąduku. Rząd warszawski dysponuje 18 dywizjami wyekwipowanymi przez Sowiety i w większości dowodzonymi przez oficerów sowieckich. Siły te są aż nadto wystarczające dla działań policyjnych. Jeżeli mimo to rząd warszawski zgodził się na sowiecką okupację, dowodzi to, że nie jest on niezależnym rządem niepodległego państwa, lecz powolnym organem wykonawczym mocarstwa okupującego Polskę dla własnych wojskowych i politycznych celów. Przeciw okupowaniu Polski przez wojska sowieckie Rząd R. P. zakłada wobec świata jak najbardziej stanowczy i uroczysty protest”.

Wzmooczenie sowieckiej okupacji w Polsce jest najlepszym dowodem, że Kraj nie skapitulował przed sowiecką przemocą. Równocześnie mnożą się dowody, że polska społeczność na obczyźnie otrzasa się z ciosów zadanych przez wrogów i morderców. Rada Naczelna Kongresu Polonii Amerykańskiej ponowiła przyrzeczenia nie ustawiania w walce i w wysiłku „by Polska była cała wolna i niepodległa”. Dochodzą pierwsze odgłosy organizowania się uchodźstwa polskiego, świadomego swej odpowiedzialnej roli w czasie, gdy Kraj musi milczeć. Głos rządu polskiego i jego członków znowu przypomina światu, że walka o niepodległość państwa polskiego trwa. Ta nasza walka jest równocześnie walką o wolność związanych z nami jednakim losem ludów Międzymorza. Toteż w naszym i ich imieniu mówił 10 października premier Arciszewski: „11 państw środkowej i wschodniej Europy, obejmujących przeszło 100 milionów mieszkańców, zostało pozbawionych wolności i niepodległości... Tym stu milionom Europejczyków musi być przywrócona wolność. Wiemy już dziś, że pokój i bezpieczeństwo są niepodzielne. A nie może być pokoju i nie może być wolności, opartych na niewoli. Nie może być wolności nad Tamizą i Sekwaną, gdy nie mającej nad Wisłą i Dunajem”.

M. p. 9. XI. Jarosław Zaba

HONY SOIT QUI MAL Y PENSE **)

Gdy już poczułem, że z pod mojej stopy
Usuwala się ziemia Europy —
I albo morza zostawały głębie,
Albo azjackiej łaska ambasady,
Ja odleciałem, jak czynią gołębie,
Wzłom i płazom zostawując zdrady.
Więc nie pytajcie mię, czyli powrócę,
Więc nie pytajcie mnie, gdzie się podzieję!
Jam z tych poetów, co nie słówka nuce,
Ja to, co śpiewam, żyje i boleje...

I każdy wiersz ten miałem w mojej dłoni,
Jak okrętową linę w czasie burzy.

Kiedym się do was uśmiechał z nad toni —
A wy mnie nęcił chciecie listkiem róży?

Schowajcież sobie te niewczesne kwiaty
I skarżcie raczej, że mży, że się zaciął,
Że nie chcę współczuć własnej i was straty.
Bo ja nie zdradziłem... nawet nieprzyjaciół.

1855, Paryż

Cyprian Norwid

^{*)} ogłoszoną po śmierci Mikołaja I (2 marca 1855) przez jego następcę, Aleksandra II.

**) Hańba temu, kto o tym źle myśli. (Dewiza „Orderu podwładnych”)

poległych w walce podziemnej w Kraju, w bohaterskiej obronie Warszawy,
zmarłych w obozach, więzieniach i na zesłaniu w Rosji i w Niemczech
odprawiono z inicjatywy Inspektoratu P. S. K. 2. Korpusu w dniu 3. 11. 1945 roku
msze żałobne we wszystkich oddziałach P.S.K.

Magdalena, Cirkwie Irena, Gorczakowa Lidia, Idzikowska - Rozciszewska Maria, Kowalska Maria, Kowalska Irena, Krahelska Krystyna, (Danuta), Kujawianka Wanda, Lasocka Alicja (Litka), Lempicka Irena, Manduk Maria, Matuszewska Ewa, Molento Irena (Irys), Neumanówna Irena (Marcelka), Piekarska Jadwiga (Basia), Pohowska Ewa, Sawicka Halina, Sokal Stefania, Sokal Aleksandra, Stojowska Helena (Stoiak), Sumińska Helena, Sujkowska

Halina, Szebeko (Teresa Strzala), Szczurowska Maria, Wańkowiczówna Krystyna, Wróblewicz Jadwiga.

W służbie pomocy żołnierzowi P. Z.
giną od bomby w teatrze *Prażmowska-
Iwankowa Zofia* i jej siostra *Prażmowska
Teresa* wraz z kilkunastoma ochotniczkami.

Dyrektorki gimnazjum Jadwiga Kowalczykówna i Jadwiga Jaworkówna spłonęły żywcem, nie chcąc na rozkaz niemiecki opuścić mieszkania.

Jadwiga Falkowska rozstrzelana wraz z mieszkańcami domu przy Alei Niepodległości.

Osiemnastoletnia ochotniczka „Hajdu-
czek” (nazwisko nieznane) z batalionu
Kilińskiego — pada pod czołgiem rzu-
ciwszy w niego granatem.

W więzieniach rosyjskich, na zsyłce, w obozach pracy przymusowej, w tajgach Sybiru, kopalniach zginęło tysiące kobiet. Najczęściej przesładowane są działaczki z organizacji niepodległościowych, oddziałów P.W. harcerstwa. W więzieniu została zamęczona Zofia Stefańska, Hanna Petryczuk, Maria Hereńska, Józefa...

W okresie formowania wojska polskie go umiera wiele ochotniczek z szeregów P.S.K. na skutek wycieńczenia i chorób epidemicznych, niosąc pomoc chorym umierającym z głodu rodakom w szpitalach wojskowych w Rosji, a następnie w Iranie.

Literatura polska poniosła ogromne straty. Podczas wojny umarli, lub zostały stracone literatki i dziennikarki: Lucja Charkiewicz, Anna Chorowiczewska, Julia Dickstein-Wieleżyńska, Maria Gerson-Dąbrowska, Halina Górńska, Emilia Grocholska, Halina Krachelska, Felicya Kruszevska, Henryka Łazowertówna, Wanda Mitaszewska, Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska, Maria Pawlikowska, Maria Rodziewiczówna, Stefania Sempłowska, Antonina Sokolitz, Aniela Zygorska, Hanna Zahorska-Savitr.

CZESZ PAMIĘCI TYCH, KTÓRE NI
ULEKŁY SIĘ WROGA, WYBIERAJĄ
ŚMIERĆ ZAMIAST HANBY WYRZ
CZENIA SIĘ SWOICH IDEALÓW, Z
MIAST BIERNOCI I BEZCZYNN
ŚCI. NIECH IM LEKKA BĘDZIE ZI
MIA OJCZYSTA I OBCA!

Dzień Zaduszny — w dniu tym w Polsce i poza jej granicami, modląc się za zmarłych krewnych, pamiętać będziemy o tych, którzy padli ofiarą okrutnej w swoich skutkach sześćioletniej wojny.

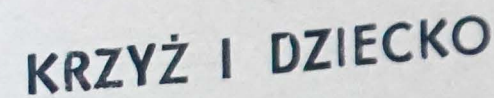
Najgłębszą jednak czią otoczymy wszystkich, którzy walcząc orężem lub bez niego, oddali swe życie z całą świadomością i ze zrozumieniem spełnionego obowiązku, z wiarą, że życia nie oddali nadaremnie.

Wymieniając kilkadziesiąt dostępnych nam w tej chwili nazwisk bojowniczek o wolność i sprawiedliwość, składamy tym samym hołd wszystkim, których imion i mogił szukać daremnie na rozległej przestrzeni — od niemieckich obozów koncentracyjnych, poprzez więzienia, gruzy Warszawy, samotne groby wzdłuż torów kolejowych, do obozów przymusowej pracy w głębi Rosji europejskiej i azjatyckiej.

We wrześniu 1939 roku wskutek be-
stiańskiego bombardowania Warszawy nie
oszczędzającego szpitali, ginie na poste-
runku w liczbie wielu lekarzy i pieleg-
niarek *dr Domostawska-Zabawska Zofia*.

Podczas okupacji niemieckiej w związku z akcją sabotażową, dywersją, na skutek masowych rozstrzelania, zamęczenia na śledztwie w więzieniach, obozach śmierci, wskutek chorób i wycieńczenia w ciężkiej służbie konspiracyjnej, ginie wielka ilość dziewcząt i starszych kobiet. Między innymi: Białokuruwa, Charnasówna Paula, Gallera Janina, Jaroszewiczowa Halina, Jędrkiewiczowa Zofia, Niemińska Halina, Paszkowska Helena, Siemińska Halina, Sokołowska (Marta) z córką, Stronńska Maria, Sułkowska z Czarnockich Halina, Wyrebowska Maria, Zanowa Teresa, Zawodzińska Maria, Zglinińska Janina.

Wreszcie masowe bolesne straty Armii Krajowej w Powstaniu Warszawskim: — Jedna z pierwszych ginie w ataku na gmach poczty na pl. Napoleona — Irena Bredel (Alina), idąc za swoim dowódcą na czele oddziału. Najwięcej narażone na śmierć były sanitariuszki i łączniczki, które, pełniąc swoje obowiązki, padały też najczęściej na ulicach czy w kanałach podziemnych. Tak zginęły między innymi: Jęglińska-Piekarska, Billewiczówna



„Ojcie mój, twa kocha
Wprost na most płyń
Masz uderzyć!... Wróć!
Lub wszystko zginie.

Patrz, jaki tam krzyż,
Krzyż niebezpieczny!
Maszt się niesie wżwyż,
Most mu poprzeczny”.

„Synku, trwogi bądź!
To znak zbawienia:
Płyniemy, bądź co bądź!
Patrz, jak się zmienia!

Oto wszereż i wzwyż
Wszystko toż samo",
"Gdzież się podział krzyż?"
"Stał się nam bramą!"

1866

Cyprian Norwid

Listopad. Szaruga spowiła Warszawę. Wiatr podzwania wielkimi płatami blach na popękanych dachach, czarnymi oczodołami patrzają martwe okna domów, w których nikt nie mieszka. Od Wisły ciągnie mgła. Przejdźmy przez ulice Warszawy. Idźmy tam w najgłębszym skupieniu ducha, w najwyższym napięciu myśli. Wieczór zaduszny. Odwiecznym zwyczajem prajców kleknijmy między grobami. W ciemną listopadową noc bądźmy razem z nimi. Groby wzrosły w tro-tuary, w jezdnie, w małe podwórka czynszowych kamienic, w ogródki okalające domy, w place i skwery. Idźmy między te mogiły ze skupioną modlitwą, z sercem wezbranym miłością, z myślą skierowaną ku wieczności. Jak nas uczy piosenka legionowa, ucałujmy Krzyże powstańcze, błogosławicę małym, wkłó-słym w ziemię kopczykkom. Na drewnia-nych tabliczkach z trudem już odczytamy nazwiska, pseudonimy, szarże, nazwy ba-talionów — kronikę Powstania.

Pod obronnymi murami Starej Warszawy, których dziwnym trafem nie tknęły pociski wroga, wyciągał się długi rząd mogił.

Idźmy wolno ku ruinom Katedry Św. Jana. Stąpajmy ostrożnie, by nie potra-
cać leżących kości. Tu jest miejsce świę-
te. Każdy załamek ulicy, każdy zakrę-
t, każdy dom ma swoją kartkę w walce.

Na Lesznie, na dachach nawpół opalonych sterczą jeszcze balkony, na których Niemcy wczesną wiosną 1944 r. powiesili zwłoki 30 chłopców, żeby przestraszyć miasto. Ciała zsiniałe, straszne, potwornie pohańbione. Szły tam ku nim setki, tysiące ludzi — ku tym ciałom wydłużonym, założwie bezradnym. Szli ludzie korowodem milczącym, z zaciśniętymi pięściami, z sercami zdławionymi buntem i powtarzali słowa przysięgi o walce na śmierć i życie. To nie błąd strach padł na stolicę! Od tych ciał umęczonych szła ku żywym siła nadludzka. Po nocach, kiedy na bezludnych ulicach Warszawy dudniły tylko twarde kroki „sztrajf” niemieckich, na poddaszach, w suterynach, w mieszkaniach robotniczych i w wynędzniałych domach inteligencji młodzież nuciła bójową pieśń A. K.:

„Hej, chłopcy! Bagnet na broń!
Bo kto wie, czy to jutro, pojutrze, czy
dziś,
Przyjdzie rozkaz, że już, że już trzeba
nam iść.
Granaty w dłonie i bagnet na broń!”

I dziś brzmi ta pieśń cichym echem
wśród murów Warszawy. Już wrosła w
życie.

Idźmy dalej — tam jest ghetto zrównane z ziemią, i jest Pawiak i polska Via Sacra — droga wiodąca z Pawiaka do podziemi Gestapo w Alei Szucha, nazywanej „Strasse der Polizei”. Ta droga ka-

retki więzienne woziły więźniów na badania i odwoziły ciała poszarpane biczymi, z połamanymi nogami, z odbitymi płucami, nawpół żywe resztki ludzkie. Tu na pamiątki zakrećcie przy ul. Długiej i Bielańskiej wspaniali, bohaterscy harcerze z „Buków” odbili karetę więzienną. Dokonali czynu, o którym dotąd świat nie wie, ale który w życiu Warszawy trwać będzie przez wiele pokoleń, jak legenda o męstwie, determinacji i braterskiej miłości harcerzy. Idźmy dalej przez to miasto, w którym przez pięć lat trwała walka przyczajona w podziemiach konspiracji, zajądła w wyczynach wielkiego sabotażu, w szaleńczych porywach dywersji, bohaterska w swojej nieprzełaganej woli wyniszczenia wroga.

Idźmy przez to miasto, które w sierpniu 1944 r. powzięło jedyną w historii świata decyzję zadokumentowania swej woli w obliczu dwóch ścierających się z sobą totalizmów. Po pięciu latach niewoli Warszawa przeżyła 63 dni wolności. Przez te 63 dni pociski przeszywały powietrze, co kilka godzin huraganowy ogień dział wstrząsał posadami miasta, płomienie wybuchały ku niebu czerwonymi słupami. Ale w miesiące, zbratanym wspólnym wysiłkiem, wytwarzał się nowy styl życia, oparty na pełnej wspólnotności i równości. Pracowały redakcje pism nieskrępowanych żadną cenzurą, dudniły maszyny drukarskie, sprawnie funkcjonowały punkty dokarmiania ludności, a nad wszystkim królowała piosenka:

„Długa droga, przed nami trud i znoj,
Po zwycięstwo idziemy my młodzi na
bój!

Granaty w dłoń i bagnety na broń!"

Miasto trwało w walce, choć uświada- miało sobie, że dwie wrzące siły skazy- je na zagładę. Nadlatywały samoloty **spzymierzeńców** z lotnisk oddalonych o **tysiące kilometrów**, by rzucić walczącym **broń i amunicję**, i znaczyły drogę swego **lotu licznymi ofiarami**. Cały świat miał na ustach imię naszej Ojczyzny i wołał o ratunek. Ale wbrew woli całego świata, między dwoma kamieniami młyńskimi wy- rok zagłady został dokonany do ostatka. Gdy wreszcie żywi musieli opuścić mia- sto, nad grobami i nad nieopgrzebanymi ciałami poległych zaczęły płonać syste- matycznie niszczone całe dzielnice miasta. Płonęły wielowiekowe zdobycze kultury, myśli, twórczości, natchnienia, dzieła ge- niusza ludzkiego, kościoły, pomniki, brazy, rękopisy, dorobek setek pokoleń. Otoczona potrójnym kordonem wojsk nie- mieckich od zachodu, zamknięta frontem **nieruchomo stojących wojsk rosyjskich** od wschodu, uwieczona jak w żelaznych **kleszczach**, dopalała się Warszawa.

W ponurym milczeniu zespoliły się mo-
ce piekielne nad zgłiszczami miasta, które
jest stolicą ludzi mężnych i miłujących
wolność.

Przez cały październik 1944 r., przez długie tygodnie unosiły się nad Warszawą chmury czarnego i ciężkiego smogu. Aż listopadowy deszcz zgasił powstały pożary. Nad miastem mogił i krzyży zaległa głucha cisza. W noc zaduszającą zapłonęło w Warszawie ani jedno światło nad mogiłami, bo w mieście nie było ani jednego żywego człowieka.

Ale zato od wsi i miasteczek podwar-
żawskich w płuchoć jesienną tysiące lu-
dzi płynęły ku miastu wszystkimi dro-
gami i drózkami. Szły marki, żony, oj-
cowie, bracia, siostry, dzieci. Odgania-
ni przez warty niemieckie, stawali niemi i
oczami, które zalewały łzy, patrzyli na
sylwetkę miasta. Wtedy mówiliśmy sobie
w porwywie wiary silniejszej ponad roz-
pacz, że to przecież nie koniec. Że na-
przyszły rok, w dzień zaduszny, załopocą
polskie sztandary nad mogiłami poległych,
że śpiew zmartwychwstania wstrząśnie li-
stopadowym powietrzem, że wolność zjed-
noczy nas wszystkich rozproszonych po
całym świecie. Że przyjdą z pieśnią zwy-
cięstwa szeregi wojsk spod Narwiku,
Tobruku, Monte Cassino i Bolonii, że
przed mogiłami poległych w walce o
Warszawę przemaszczą w zwartych szere-
gach długie kolumny Armii Krajowej.
Ale stało się tak, że dzisiaj jeszcze bar-
dziej niż rok temu jesteśmy rozproszeni,
że jeszcze bardziej jesteśmy bezdomni i
osamotnieni, że patrząc musimy z od-
ległości wielu setek mil na samotne mo-
giły i duchem tylko możemy być w noc
zaduszną w murach ukochanej Stolicy.
Bo takie są niezbadane wyroki Boga i
takie są drogi wiedące do wolności.

Ale ponad wszystkie kłamstwa i podłości, które miał na ciężkich żarnach

W dniu 5. 8. br. zmarła i pochowana została w Fontenebleau pod Paryżem Stefania z Fedkowiczów Hajkowiczowa-Frołowiczowa, kapitan Armii Krajowej.

Zmarła odznaczona była „Krzyżem Niepodległości z Mieczami”, „Krzyżem Walecznych”, „Krzyżem Zasługi” i odznaka komend. P. W.

Odnaczenia te, to historia Jej czynnego życia od najwcześniejszych lat, oddanego bez reszty Polsce. To historia Jej serca milującego, Wolańską i Niepodległość, to historia Jej nieustraszonej, a owocnej pracy przez blisko trzydziestoletni okres.

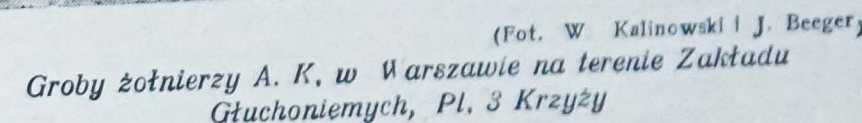
Była kurierką POW — Wschód. Przemierzając setki kilometrów po ziemi własnej i obcej, była stale narażona na niebezpieczeństwa od strony czerwonego wroga.

W roku 1920 brała czynny udział w walkach o całość granic Rzeczypospolitej.

Po wojnie polsko-bolszewickiej, przeszła do pracy społecznej, biorąc udział w pracach „Rodziny Wojskowej”, „Związku Strzeleckiego”, „Związku Byłych Obrońców Ojczyzny”, „Fidac'u”, i wreszcie w organizacji PW Kobiet, której oddała wprost bezcenne usługi w pracy nad młodzieżą, jak i nad zdobywaniem praw dla kobiet w służbie wojskowej. Pełniła wreszcie szaczone funkcje Komendantki Naczelnej tej Organizacji.

Byłaś, Stefo, dla nas, które zna-
łyśmy Ciebie, wzorem cnót obywatelskich.

Kochając Polskę całą Swą pro
mienną duszą, kochałaś i nas, gar



codziennego chleba świat powojenny, wyrasta prawda o mocy, płynącej z tajemnicy rozdawnictwa krwi, z ta-

jemnicy łączności między żywymi i umarłymi, z duchów obcowania.

Wanda Heblewska

nać się do pracy dla Jej dobra i wielkości.

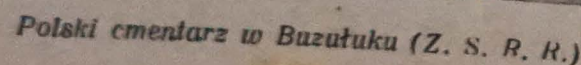
Nasze troski, zmartwienia, kłopoty odnajdywały zawsze żywy oddech w Twym sercu. Od pierwszych, nieudolnie stawianych przez nas kroków — byłaś zawsze z nami, niosąc pogodę, otuchę i wiara tam, gdzie zdawałoby się stoi przeszkoda nie do przejścia. I tylko w grodzie swych najbliższych współpracowniczek chmurzyło się. Twoje przedwcześnie pocranę zmarszczkami czoła, pod którym pulsowała myśl owiana troską.

Taką znaliśmy Cię i kochały przed wojną, jeszcze bardziej nauczyliśmy się Ciebie cenić — na barykadach samotnie walczącej Stolicy, na których stanęłaś z całym szeregiem innych, po pięcioletniej, ciężkiej, konspiracyjnej walce z hitlerowskim najeźdźcą.

krwawym najeźdźcą.
Pozornie nie się w Tobie nie
zmieniło, kiedyś szła w szeregach
jenieckich poprzez obozy niemieckie.
Żył w Tobie szlachetny bunt i
niezlamana wiara w zwycięski po-
wrót do umiłowanej, wolnej Oj-
czyzny.

Byłaś w obozie ta, która kochała i krzepiała myślą, stowem i czynem i chociaż Cię już zżerała choroba, nigdy nie wyszła skarga z Twoich ust. Zastłuchana w melodii bliskiego wyzwolenia, roiłaś już sny o dalszej walce.

Jakże ciężkim, lecz bezsilnym wyrzutem są dla nas Twoje ostatnie listy pisane już ze szpitala, z Francji, tuż przed śmiercią, błagające o możliwość powrotu do nas, kochane przez Ciebie gromady.



NARZECZONA GROTTGERA

Na wysokim piecu w pokoju mojej babci stało duże, brązowe popiersie. Ciemna bryła czegoś długo nierozumianego, co się z początku zlewało z ciemnymi kaflami i gubiło w wysokości głębokiego pokoju. W zimie dopiero, kiedy ogród zbiegał za szczybami, a martwy blask podświetlał sufit — jawiło mi się to wyraźniej. Widziałam wtedy młodą, ostrą, ptasią trochę twarz, czujnie przed siebie zapatrzoną oczy, wąskie usta pod małymi wąsami i z nad uszu ku skroniom wygarnięte, gładko przyczesane kosmyki włosów. Piec stał wprost naprzeciw sofki, na której wtedy sypiałam. Kiedy w zimie ogień furkotał w nim głucho i jedwabście, myślałam sobie zawsze, że temu ciemnemu panu pod sufitem, musi być bardzo ciepło w nogi. Bo choć wiedziałam, że to rzeźba tylko, nie mogłam się wypłatać z wrażenia, że jest to przecież ktoś żywy, — po same ramiona zapadły tylko w kafele — ktoś, kto gdyby chciał, mógłby wyleźć z tego pieca.

Nie umiem dziś odszukać w pamięci chwili, kiedy pierwszy raz usłyszałam: Grottger. Nie wiem kto i kiedy powiedział mi, że to był malarz, narzeczony mojej babci, który dawno temu umarł. Wiedziałam, że te jakby kopciem i sadzą zasypałe, złotą listewką obwieszony obraz, zalegające całą ścianę nad kanapą — to jego „Wojna”; że olejny portret babci „z sówką” i ten drugi z różami, jak zresztą wiele innych portretów i obrazów na ścianach — to wszystko jego prace; że rosnący w drewnianej paczce bluszcz, jest odszczepkiem tego, który on sam ongiś sadził; że wreszcie złota, w monogram zawieszona niteczka na palcu babci — to jego zaręczynowy pierścionek.

Od najmłodszych lat pojęcie „zaręczyn” rozlewało się w mojej wyobraźni w coś bardzo smutnego, odległego, tajemniczego, w coś, o czym się nie mówi. Narzeczony — to już było zrozumiałe. To jest po prostu ktoś, kto umiera. Samo pojęcie śmierci nie było mi wcale straszne. Cóż to złego ostatecznie pójść na piec? To musi być nawet zabawne widzieć pokój z tak wysoka. Wyżej niż z szafy...

Pokój, w którym mieszkałam wtedy z babcią, był na piętrze. Wiedziałam, że ściana, pod którą stoi moja sofka, przytka już do strychu. Strych ten był w moim poczuciu o wiele straszniejszy od śmierci. Niedocieczona, tajemnicza otchłan czegoś mrocznego, wrogiego, bezdno bezmiennego grozy, oddzielone odemnie tylko murem, kilimkiem i oparciem kanapki. Wszystko, czego się bałam i wszystko, czego nie rozumiałam, gnieździło się za tą ścianą... Tam poszedł niedawno mój dziadzio, tam poszła buni, matka mojej babci — tam idą wszyscy, którzy umierają. Jeden tylko Grottger poszedł na piec.

Nie rozumiałam wtedy słowa „dawno”. Nie miało dla mnie smaku. Nie znaczyło nic. Sama od tak niedawna byłam na świecie, tak mi się szpulka lat zaczynała dopiero rozkręcać — nie, nie mogłam zrozumieć, co to znaczy „kiedyś”, to kiedyś, które zostaje za nami. Czasem,

na błysk chwili umiałam je wyczuć w czerności zamkniętych powiek — ale ślisko, nieuchwytnie, uciekając. I nie wiedziałam, jak to może być, że babcia była „kiedyś” młoda. Że miała twarz taką jak tam, na portrecie, takie czarne, lśniące brwi i takie różowe usta. Babcia — to było mocne, znajome, niezawodne bezpieczeństwo, ktoś ciemny i duży, z



Artur Grottger:
portret Wandy Monne (z sówką)

czarnym, koronkowym grzybkim na siwych włosach i okularach wkładanych do czytania. Jakże więc te połyskliwe loki spadające na ramiona, ten owal gładki, jak owoc i te oczy zupełnie do babciny nie podobne, mogły być kiedyś — jej? Nie było rady. Zrobiłam sobie z jednej babci dwie. Jedna to była ta moja, najwłaśniejsza, bezpieczna, stojąca między mną a wszystkim złem, co by mnie spotkać mogło, jak gorącą ochroną na górę, druga — to ta śliczna, młoda, „dawna”, która nie byłaby została żoną mego dziadzia, gdyby Grottger nie był umarł.

Dzieci są czasem nadspodziewanie tak tożne. Z samego łęku przed tym wszystkim czego nie rozumieją, z przezuwania dopiero świadomości, że są na świecie rzeczy, które się w nich nie mieszczą, które wylewają się poza ich mizerny jeszcze obręb, a tą się jedynie w niezbadanej otchłani strychu za ścianą, albo w przepaści zamkniętych oczu.

Wiedziałam, że nie można babci pytać o Grottgera. To było tajemnicze, smutne i nietykalne. Może nawet nie byłam ciekawa. Nie pamiętam. Pamiętam za to dobrze, że babcia sama często zaczynała mi mówić o nim. Dziecko — to czasem nikt... Do dziecka można mówić, jak do samego siebie, można sobie „do niego” myśleć, można mu opowiadać rzeczy, które się pragnie samemu i od samego siebie raz jeszcze głośno wypowiedziane usłyszeć. I tak to właśnie głośno pamiętała czasem babcia Grottgera. Nie zawsze go nazywała. Czasem mówiła o nim i o sobie, jak o kimś trzecim, znajomym tylko, albo wymyślonym, jak w bajce. Tyle, że dziecko — prócz taktu — ma czasem także „noś”. Po głosie babci, po jej wyrazie,

po tym czymś, co wiało ku mnie od tych wspomnień, poznawałam już potem zawsze że to „to”... Uwierając, bolesny czar jakiegoś „przepadło”, jakiegoś „nigdy” czaił się w głębi tych opowiadań i wtedy nawet, kiedy były pogodne, kiedy mówiły na przykład o jakimś dawno przekwitłym czerwcu na wsi, o jego wczesnych rankach w zaroszonej, brzozywej altanie, gdzie schylony nad albumem, ktoś szczupły i bardzo wysoki, szeleścił po papierze węglem czy ołówkiem, a ktoś drugi — w szal ciasno owinięty, trochę senny od rannego wstania i trochę ze szczęścia senny — patrzył w ten ostry, ukochany profil, rysujący się wyraźnie na tle słońcem przejrzystych liści.

Zaczynało się czasem z niczego. Od poziomek, które lubił, od lampy na trzech sfinksach, przy której ongiś rysował, a przy której teraz babcia pisywała wieczorami, od poduszki na kanapie, zrobionej z dawnej balowej sukni, od jakiegoś obrazu na ścianie. Od byle czego mogło się zacząć o Grottgerze.

Tak, jak mi wzrok od najwcześniejszego dzieciństwa nawiązał do jego powierzchowności, tak samo myśli, od najdawniejszych lat oswajały mi się z jego obecnością pod dachem. Bo tylko tak mogę to określić. Choć go nie było — był. Nieobecny i dawno umarły — został. Ożywał, poruszał się, śmiał, mówił, pracował czy cierpiał w tajemniczej przestrzeni owego babcinego „dawno”, przestrzeni, która drażniła i rozpychała słowami, rozrosła mi się z czasem w świat osobny, zamknięty, do którego wchodziło się tylko przez własną głowę — pod prąd, pod włos własnemu „teraz”.

Na najniższej półce babcinej szafy stała ciemna, okuta skrzynka. Pamiętam ją, odkąd siebie pamiętam. Wyglądało to jak spory, drewniany kuferek o wypukłym wieku. Nie wiem skąd wiedziałam, że mieszkają tam wszystkie listy Grottgera do babci. Nie widziałam jej, nigdy otwartej. Milczała. Niedocieczona, trochę straszna, daleko bardziej niedostępna od tej „dawności”, z której się wzięła. W tej samej szafie o piętro wyżej mieszkała też na półce ukochana lalka babci — Minka. Lalka staroświecka, jakiej nigdy u nikogo, ani przedtem ani potem nie widziałam — z śliczną różową na porcelanie malowaną buzią, lalka dzwoniąca porcelanowymi nóżkami i patrząca na świat parą błękitnych — malowanymi rzęsami kolczasto rozkwitniętych — oczu. Tułów miała z irch, sukienkę z mroczno błękitnego, jedwabiu i była cała lekka, gładziutka, pachnąca dawnością i chłodem płócienych prześcieradeł, na których w szafie siedziała. Minkę dostawało się do rąk tylko w wyjątkowych okolicznościach i zawsze na krótko. I dlatego wnętrze tej babcinej szafy było mi jak bajka: na górze niedostępna, zawsze tak samo upragniona, porcelanowa królewna — na dole tajemniczy, smutny smok — skrzynka z umarłymi listami.

Było parę takich dni w roku, które należały do Grottgera wyraźniej od innych. Był to dzień jego śmierci, Wilia, Rezurekcja i Zadzuszki.

Trzynastego grudnia, tak rano, że za szybami było jeszcze całkiem niebiesko — szła babcia do kościoła. Wracając zziębnięta i milcząca. Przez cały dzień pościła i była w ogóle inna, niż codziennie. Ta inność polegała głównie na tym, że siedziała bezczynnie, często z zamkniętymi oczyma — nieobecna jakby. Trochę się jej wtedy bałam. Babcia — odkąd ją pamiętam — była zawsze czymś zajęta. Umiała nie robić tylko przez krótkie chwile, kiedy bywało już za ciemno do pracy, a za jasno jeszcze na lampę. Rozumiałam wtedy jej bezczynność. Ta więc babcia milcząca, nie odpowiadająca na pytania, z twarzą wspartą na ręce i przymkniętymi oczyma — była mi obca. Przeglądałam się jej ciekawie, nieznacznie a badawczo — mały zimny śpiew i przyniesione uśmiechem czyjegoś smutku, przepłoszone, współczujące dziecko. Nauczyłam się potem, że rocznica ta umiała ją odgradzić od nas wszystkich niewidzialną szybą.

W dzień Wilii i w Wielką Sobotę wiedziałam się zawsze, że babcia idzie na cmentarz. Sama. W zimie z opłatkiem, na wiosnę ze święconą palmą. Palma ta tkwiła jeszcze za antabą grobowca, kiedyś przychodziły „do Grottgera” z światłem i wieńcami.

Babcia była wysoka, zawsze ciemno ubrana i miała duże, do ostatka piękne ręce. Mam je w oczach do dziś. Widzę je, jak odgarniają z płyty opadłe liście, jak je otrząsają z bluszczy, który zarasta boki grobowca i jak potem zapalają świece w latarni. Potem wieszają jeszcze wieniec z tui i rozgarniają starannie mokre gałązki, by nie zakrywały napisu na płycie. To wszystko robiła babcia zawsze sama.

Z najdawniejszych, zamierzonych czasów pamiętam jeszcze jeden szczegół. Pewna cmentarna babka, która wypłatywała się z pomiędzy grobów z wilgotną, brązową miotłą i workiem na plecach, by podmieść i podsypać piaskiem grób

— miała też związek z Grottgerem. Do tego kłębka frędzlistych chust, z wetkniętą w nie bezzębną twarzą staruszki — babcia mówiła „Zośka”. Wydawało mi się to bardzo dziwne. Myślałam, że „Zośka” to może być tylko ktoś młody. Potem wiedziałam już, że to była dawna pokojowa buni, która pamiętała babcię taką, jaka była na portrecie z różami, która o Grottgerze mówiła do dziś „pan



Artur Grottger: autoportret

Artur” i którą — pewnie jako pamiętkę po tych najszczęśliwszych swoich latach — brała babcia zawsze do oporządkowania jego grobu. Nie wiem jakim spodziania umiała ją odszukać w tłumie tych szarych, okutych, jak kropie deszczu podobnych do siebie, cmentar-nych babek. Tak, jak kropla deszczu, bo musiała wsiąknąć kiedyś w cmentarz, bo jej już potem nie pamiętam.

A kiedy już porządku zrobione były przy grobie, kiedy wąsaty zaduszny porytek kopcił sobie spokojnie za matowymi szybkami latarni, babcia kłękła

do modlitwy. Duża, ciemna i ciężka kłękła na wilgotnej, białym piaskiem posypanej ziemi, długo, za długo, jak na czekające obok dziecko. Było mi jakoś niewygodnie wtedy i trochę straszno. Robiło się nagle tak, jakbym tu była sama. Jakby mnie zapomniano na cmentarzu. Od kamieni grobowca wiał chłód przejmujący, niesamowity, i niezrozumiany. Rozmigotana światłkami, falista przestrzeń między dalekimi grobami zdawała się nie mieć dna i liście kapiące powoli na pobliskie płyty — liście, o których wiedziałam, że będą musiały zostać tu na noc same na pustym cmentarzu — były jakoś okropnie smutne, biedne, nieszczęśliwe. Pamiętam, że mi się robiło coraz straszniej i coraz bardziej chciałam, żeby się babcia przeżegnała wreszcie, wstała i znowu zaczęła — być.

I to jeszcze pamiętam, że przed odejściem, zawsze tym samym, powolnym, ruchem, chyliła się nad płytą i całowała kamień...

I tak było zawsze. Od lat. Tak samo pamiętała ją moja matka, tak samo pamiętała ją ja. Po śmierci babci zaszczyt i obowiązek pamiętania o tym grobie spadł na moją matkę, a po jej śmierci na nas. Dopełnialiśmy tego sumiennie aż do listopada 1939 roku. Potem się już nie dało... Pierwszy to raz od 70 lat z górą nikt z naszego domu nie był na grobie Grottgera. I to przez całych sześć lat z rzędu.

Myślę jednak że wyrozumie... Wie przecie, że Lwów razem z Łyczakowskim cmentarzem i wszystkimi grobami poszedł jakby pod brudną wodę i wie, że gdy ten nienawistny potop opadnie wreszcie — jeśli nie wnuki, to prawnuki jego narzeczonej — zapalą mu znowu po dawnemu zaduszne światelko na grobie.

Beata Obertyńska

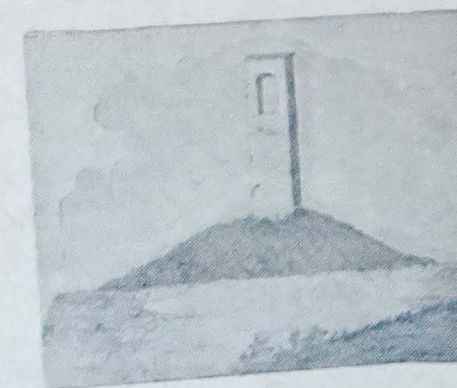
„DUMA O HETMANIE” — DZISIAJ

Gdy bierzemy do ręki wznowione wydanie „Dumy o Hetmanie” Żeromskiego*, nasuwa się uporczywe pytanie: Co nam ten utwór przynosi teraz? Teraz właśnie, kiedy jesteśmy szczególnie skłonni szukać w historii i w literaturze pożywki ideowej, analogii, naświetlenia dręczących nas zagadnień, dróg i perspektyw.

Pominąwszy walor artystyczny „Dumy o Hetmanie”, która pod tym względem jest utworem wciąż świeżym i urzekającym, znajdziemy w nim wiele myśli, obrazów, nastrojów i zagadnień, które mogą być właśnie w chwili obecnej nabierają specjalnej ostrości i siły. Zwięzłe i pełne dramatycznego napięcia obrazy cecorskiej klęski, wzniosła, ale jakże żywa postać starego hetmana, bijący od niej — na tle paniki moralnego rozprężenia — potwiera wielkości — a przede wszystkim tryumfująca ponad klęską i śmiercią wierność dla podjętej sprawy — przemawiają dziś chyba silniej i bardziej bezpo-

średnio do polskiego czytelnika-żołnierza, niż w czasach, gdy Żeromski pisał „Dumę o Hetmanie”.

Nie to epos rycerskie stanowi jednak rdzeń „Dumy o Hetmanie”. I choć wpleciony weń widmowy dramat w stylu Wyspiańskiego. Dopiero poprzez cały i zjawy, osaczające hetmana w godzinie

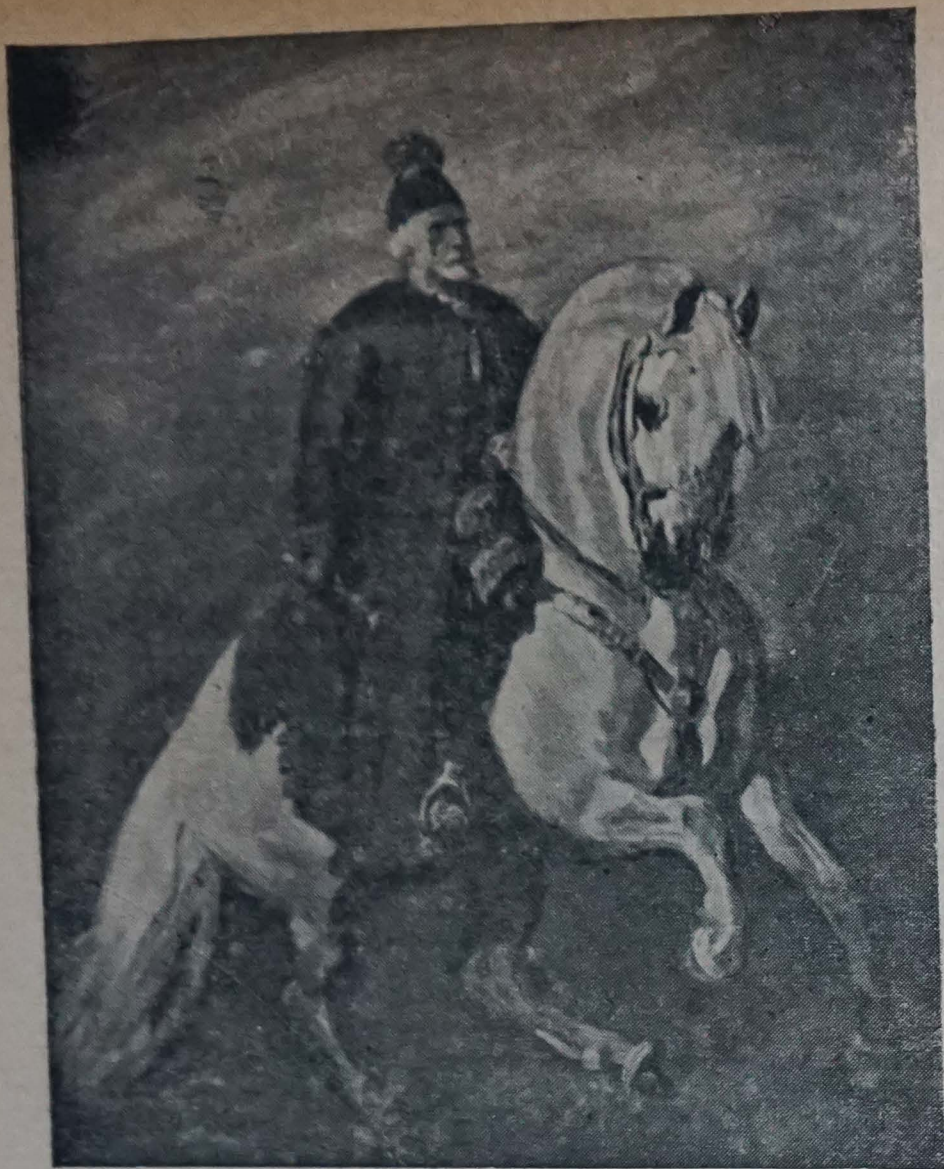


Pomnik na polu bitwy cecorskiej

śmierci, docieramy do właściwego jądra utworu. Wszystko, co się dzieje w partiach epickich, otrzymuje tu podbudowę ideologiczną i moralną. W częściach epickich hetman i garstka wiernego jemu rycerstwa walczyć muszą z wrogiem podwójnym: z zewnątrz nawałą tatarską i z samowolą, ichorzościem, zdradą niektórych magnatów oraz szlacheckiego motłochu. W części dramatycznej akcja przenosi się już całkowicie na teren „frontu wewnętrznego” i uzyskuje szersze perspektywy historyczne. W świetle widm bowiem podejmuje hetman walkę o ideę dziejową narodu polskiego i o wielkość moralną duszy narodowej.

Tu właśnie tkwi aktualność „Dumy o Hetmanie”. Problem ten w chwili obecnej stanął przed Polską w całym swoim napięciu i walka podjęta przez hetmana — trwa. Zmieniła się tylko epoka, siły zewnętrzne dziejowego dramatu i — aktorzy. Jest wyraźne powiązanie historyczne i moralne między Polską Żółkiewską, która uosabia walkę z materialną przemocą w imię sprawiedliwości,

* „Biblioteka” „Orla Białego” — Rzym, 1945.



Stanisław Żółkiewski — mal. M. Bylina

honoru, umiłowania Ojczyzny, ideałów wolności i „zachodniej oświaty” — a Polską współczesną, tą, którą nazwano w czasie tej wojny „natchnieniem narodów”.

Wiele świeżych jeszcze i wciąż aktualnych refleksji i analogii nasuwa przy czytaniu „Dumy o Hetmanie” wizja Pałatynu, gdzie „leży sen o geniuszu, o gwałcie żądzi, o potęgę miecza i o bezdennej nędzy człowieka... Gdzie się hodowa a tajemniczo-mądra umiejętność narzucania dybów i duszenia w nich plemion w zgodzie z ich wolną wolą — nauka morderstwa, pogwałcenia umowy, burzenia miast, niweczenia prastarych kultur...” Nie tak dawno jeden ze współczesnych „Pałatynów” runął razem z gruzami niemieckich miast. Drugi, poczęty już z ducha całkowicie obcego — w zestawieniu ze starożytnym Rzymem — wciąż jeszcze ciąży swoją potęgą nad uciśnionymi narodami.

Nie umarli też, a nawet święci ciągle tryumfy w swoich następcach — Coleoni z „Dumy o Hetmanie”, przedstawiciel politycznego kondotierstwa i machiawelizmu, głosiciel praw własnego „ja”, dążący do władzy i znaczenia dla własnych celów, wielbiciel siły i wyznawca pogardy dla wszelkiej słabości, nawet wyrażającej się w upadku i niedoli Ojczyzny. Szatan-kusiciel nie tylko Żółkiewskiemu, lecz wszystkich, których historia wyniosła na stanowiska szczytów w narodzie.

Coleoni w „Dumie o Hetmanie” ma swój polski odpowiednik w Samuelu Zborowskim, z którego widmem stacza

hetman, wspierany przez króla Stefana, ostatni przed śmiercią fizyczną bój duchowy o rzecz najcenniejszą — o duszę polską. Jest to walka nie tylko epoki Batorego i Zygmunta, lecz również współczesnej i przyszłej. Rozgrywa się ona i teraz, wszędzie tam, gdzie są Polacy — przede wszystkim w nas samych.

Głęboką intuicję historyczną wykazał Żeromski kładąc w usta Samuela słowa: „Jam jest wieczny w Ojczyźnie. Na bystrym koniu mój trup upiorem po niej przejeżdżać będzie... Każdą polską sprawę — swoją uczynię sprawą. W każdej radzie zasiądę — ja wygnany — i jeśli przeciw mojej woli toczy się zechce, spłócę ją, zmieszam, zniweczę, w kłótnie jednostek, w war ambicji, we wściekłą zwadę zamienię. Bo moje jest to królestwo. Poza nim szukać będę sojuszu. A jeśli zajdzie potrzeba, przeciwko niemu przywiodę obcego władcę. Ty zaś na mnie, na Samuelowego upiora, nijakiej nigdy rady nie znajdziesz”.

Lecz do walki z upiorem Zborowskiego staje inna siła, znacznie potężniejsza, ta, która wbrew Zborowskiemu budowała potęgę i świetność Rzeczypospolitej i żywemu Samuelowi strąciła mieczem katowskim głowę. Król Stefan. Mówi on w innym miejscu dramatu o narodzie polskim:

„Poznałem cenę waszą... Stanąłem z waszą duszą o nią do boju jako jakob z Aniołem”.

I rzuca w twarz zbuntowanemu magnatowi zapowiedź dalszej walki o duszę polską:

„Nadejdzie kiedyś inny, nie twój czas. Jam tu był dostał oprócz doczesnej korony wieczysty indygenat. Ziemia ta moja jest także... Jam jeden drugą sprawił naszą polską rzecz. I inny wtedy w moim orszaku duch, obok ciebie, rycerz polski nowy na koniu siadał”.

W ostatecznym podsumowaniu zwycięstwa w „Dumie o Hetmanie” wiara w przewagę pierwiastków twórczych i szlachetnych w duchu polskim. Oprócz króla Batorego daje wyraz tej wierze hetman:

„Głęboko leży polski skarb...” — mówi do syna.

W urojonej rozmowie z księciem Mściławskim, zamykającej dramat widm, snuje ten wątek dalej:

„Książę! Miałem tu przerażliwy sen...”

„Wiem ja o nowym polskim śnie...”

„Taki to trud o aniele Ojczyzny powieść ogłasza... Jest w orszakach ludzi polskich geniusz lotny, jest od przemocy zamęczona, czcigodna wola. Są ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej... kwiaty cudowne w rubasznym pustkowiu. Przez trud tych dusz w Polsce samotnych przysięgam, iż wydzwignię się anioł jej wewnętrzna mocą swolą z cielesnej poczwary”.

Miedzy biegunami duszy narodowej, które symbolizują Żółkiewscy i Zborowscy, waha się siła wewnętrzna narodu polskiego. Miedzy biegunami polskich zwycięstw i klęsk dziejowych — jak miedzy tryumfem epoki Batorego a klęską cecorską — faluje polska historia.

Kto potrafi z „Dumy o Hetmanie” wyłowić wszystko to, czego czas nie tylko nie skruszył, ale co pozwala głębiej i szerzej ująć polską rzeczywistość w chwili obecnej — ten znajdzie poprzez pryzmat „Dumy o Hetmanie” we współczesnym polskim dramacie dziejowym — i swoją rolę.

Cezary Gołkowski

ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU na projekt przebudowy pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w Rzymie

Na rozpisany konkurs na projekt przebudowy pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w Rzymie, do Komendanta miasta Rzym wpłynęło ogółem 10 prac. Na wniosek sądu konkursowego Dowódca Korpusu przyznał pierwszą nagrodę za projekt oznaczony godłem „303”. Pierwszą nagrodę otrzymali autorowie projektu: Adolf Glett i pchor. Bruno Schlabenberg.

POSZUKIWANIA

Jan Werner syn Jana i Janiny, z Grzankowskich, urodzony w Warszawie, lat 20-21, ostatnio zamieszkały w mar. latoru Rękoraj, Piotrkowskie, poszukiwany przez Hanę Franaszek, Rzym, Boncompagni 18, War Relief Service. Żony, Lewandowskiej Aliny, poszukuje School of Military Engineering, Pruss Edmund — Polish Forces C.M.F. 62 — poszukuje braci: Witolda i Stefana. Ostatnio przebywali na terenie Niemiec.

OWADY W BURSZTYNIE

(Wiersze Beaty Obertyńskiej)

Gdyby trzeba wyznaczyć miejsce na Parnasie współczesnej poezji polskiej — Beacie Obertyńskiej, nie można by uczynić tego bez zawahania. Byłoby to gdzieś tuż koło Marii Pawlikowskiej, gdzie bardzo wysoko, ale nie tam, gdzie prawi się o bycie ludów, o narodach, o wojnach. Natomiast tam, gdzie mowa jest o człowieku, o drodze moralnej, o związkach duszy z Bogiem, o pięknie ducha, o urodzie świata.

Uroda świata, ściślej uroda ziemi rodzinnej, polskiej jest nurtem najstrumenniejszym poezji Obertyńskiej. W poczcie żyjących poetyckich osobistości stoi Obertyńska ze swym złotnictwem wyobraźni, obrazowości i języka w rzędzie najwyższych dostojników słowa polskiego. Dziś dymami wojen i wulkanami idej zastąpiły się złotnicze warsztaty, więc z poezji Obertyńskiej przeświecają te tylko wiersze, które mają „głos jak grzmot”. Z pokorą przyznaje się pisarka, że głos jej umiał tylko „skrzypiec łące złotej ku sianożęzi i zrębów malinowych słoneczność wielbić płową”. Ten jej wiersz jest cichutki szepczący, modlitewny, pastelowy. Słowa jedwabiste, pilśniowe, aksamiitne. Półtony, półmroki, zasłuchania w ciszę. Kochające ramiona wyciągnięte do przyrody, tej, która żyje i tej, którą ludzka wyobraźnia ożywia mitologią najdrobniejszych istnień i najmrowistszych uczuć.

Jest w tej poezji antropomorficzny mitologizm słowiański, religijność przyrodnicza, dziecinno-ludowe zamiatowanie w baśń. Nie ma zaś tak pospolitego w kobiecej literaturze erotyzmu osobistego; są jego subtelne tylko, wstydlive ślady.

Język Obertyńskiej jest jak kwitnący sad, żyjący wszystkimi barwami mowy polskiej: literackiej, staroświeckiej i ludowej, rdzennej, gospodarskiej. Posługuje się nim poetka z zamaszystą swobodą, czuje się panią jego skarba. To nie język się pania jego skarba. To nie język zakuty w pancerz dostojności, ani zaszyty w krynoliny i obroty godności. Chodzi sobie Obertyńska w poezji szerokimi gościnnymi polami po słońcu i po szarugach, schodzi w opłotki i chwasty, zrywa ziele i kwiaty polne, zagląda do starych studzien i spogląda ku niebu.

Mitologiczne wyobrażenie świata harmonizuje w poezji Obertyńskiej z religijnością namiętną, ekstatyczną, opartą na codziennej moralności. Język jej wierszy jest doskonały swobodny, ale świat pojęć moralnych, ogrodzony żelazną obręczą.

W technice pisarskiej Obertyńska wiersze swe opracowuje jak kamee, jak szlifowane kamienie, jak wyjąk szlifowane miniatury. W każdym kryształiku jej wiersza, jak w gdańskim bursztynie, mieści się jakiś skamieniały owad. Jest to albo idea, albo obraz, albo choćby tylko jakiś

niezwykły, szacowny, poetycki wyraz. Czytając wiersz Obertyńskiej, oczekuje się w nim zawsze tego jądra, czy kokonu, który jest istotą poetyckiego pomysłu.

Ludziom żywym przemawiają do serca nie tylko pioruny. Czasem potrzebna jest posłuchać tajnych poszeptów serca, głosów przyrody, mowy uroków codziennego życia. Jeżeli uroki i czary tych spraw są tak bardzo związane z daleką ziemią, jak w poezji Beaty Obertyńskiej, nie muszą zazdrościć sławy grzmotom.

Uwagi te napisane są w związku z ukazaniem się tomiku wierszy Beaty Obertyńskiej p. t. „Otawa”, wydanego w Jerozolimie 1945, nakładem Sekcji Wydawniczej Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie, przygotowanego i poprzedzonego wstępem przez Janinę Piłatową, która uzasadnia w naukowy sposób walory języka poetki z doskonałym wyczuciem jego kolorytu wschodniego. Okładka projektu Janiny Wolf Boguckiej, stoi na wysokim poziomie graficznym.

„Otawa” zawiera wybór wierszy z okresu całej twórczości poetki (z jej tomów poprzednich) wraz z pisanymi w czasie służby w P.S.K. w 2. Korpusie. Szkoda, że nie obejmuje przeszlicznej legendy o „Braciach Mroźnych”. „Otawa” jest artystyczną wystawą mowy polskiej.

Jan Bielatowicz

NIEPOKÓJ NOCY

Nam

idącym pod wicher

pod sztorm

dzień wilając i noc zaskoczeniem —
ciężko zasnąć, gdy ścianami dom
nas otoczy i cisza ramieniem.

Stanie wtedy nad nami — i cicha
patrzy w oczy i ściska za krtani —
— jakże lekko pod wicher oddychać!
— jakże lekko oddychać pod sztorm!

Wstaniesz nocą, bo woła ktoś „wstań!”
wiesz, że trzeba — i wyjdiesz przed dom —

wtedy usta rozchylisz pod wicher
żeby żyć — by dać pierśmi oddychać.

Nie wiadomo co stanie się wpiers —
trzeba ubiec — bo życie zaskoczy!

błyskawica przebiega przez nerw
noc rozświetlając oczy.

Gdy ostatni obudzi alarm,
gdy ostatni zakończysz bój —
wtedy sercu krzykniesz — za karę
— stój!!

Józef Bujnowski

„SPRAWIEDLIWOŚĆ SOWIECKA” W JĘZYKU WŁOSKIM

Ukazała się już w tłumaczeniu włoskim „Sprawiedliwość sowiecka” — GIUSTIZIA SOVIETICA, Magi-Spinetti, Editori Roma 1945.

Książka składała się z dwóch części, teoretycznej i dokumentarnej. W części teoretycznej autorzy (Sylwester Mora i Piotr Zwierniak) zajmują się porównaniem zasad prawnych, właściwych narodom kultury zachodniej z zasadami sprawiedliwości sowieckiej. Podstawą rozważań są oryginalne materiały sowieckie, wśród których na specjalną uwagę zasługuje kodeks karny i kodeks postępowania karnego, cytowane bodaj czy nie po raz

pierwszy w tego rodzaju publikacjach. gdyż materiały te, niezbyt pochwlebie świadczące o sowieckim systemie karnym, były dostępne dla świata „kapitalistycznego”. Wydanie włoskie „Sprawiedliwości” zawiera więcej tych materiałów, niż je miało pierwsze wydanie polskie. Poza tym w części pierwszej autorzy dają obszerny opis praktyk sowieckiego systemu penitencjarnego.

Na część drugą składają się opisy przeżyć tych ludzi, którzy byli w latach 1939-1942 przedmiotem sowieckiej machiny karnej. Opowiadania te, zestawione według zagadnień, uzupełniają część

pierwszą, potwierdzając wnioski, do których autorzy w swych rozważaniach doszli.

Do publikacji dołączona jest mapa sowieckich „Łagrów”, która obrazuje przeważającą w gospodarce sowieckiej rolę niewolnej pracy więźniów. Ciekawą statystyką w rozdz. V części pierwszej daje porównanie ilości więźniów (15 milionów) w ZSRR i innych krajach europejskich.

Książka jest do nabycia w wojskowych punktach sprzedaży oraz w księgarniach włoskich.



Szkółka Pawła Veronese: Pożegnanie Chrystusa z Matką

wia się nam w sztuce, że widzimy ją i podziwiamy o tyle, o ile artysta w swym dziele obdarzył ją nowymi wdziękami. To istotnie może być trudne do uchwycenia na pierwszy rzut oka, ale cofnijmy się nieco w nasz rozumowanie i zdajmy sobie sprawę z tego, że prawdziwa sztuka nie naśladuje przyrody". — I jakby w proroczym widzeniu*, poeta mówił dalej:

„Doskonałość sztuki leży w niej samej, a nie poza jej obrębem. Nie można jej sądzić według jakiejś zewnętrznej skali podobieństwa z czymkolwiek innym. Jest raczej sama zasłona, która narzuca się na rzeczy, aniżeli lustrem, w którym się one odbijają. Posiada kwiaty nieznane w żadnym lesie i ptaki niewidywane w żadnym gaju. Powołuje do istnienia i strąca w nicotę całe światy... bo ona posiada „formy o wiele bardziej rzeczywiste od form żywego człowieka” i od niej pochodzą te wielkie prototypy, których rzeczy istniejące są tylko niezliczonymi kopiami... Przyroda w oczach sztuki jest wyzbyta zarówno wszelkich praw, jak i wszelkiej przyczynowości. Sztuka może więc dokonywać cudów zależnie od swojej woli i gdy ze swych głębin wywołuje na światło dzienne potwory, zjawiają się zaraz na jej wezwanie. Może ona w zimie obdarzyć nas okwieconą gałęzią z drzewa migdałowego a śniegiem przypruszyć dojrzale kłosa zboża”.

Panie były widocznie wzruszone elokwencją miłego młodzieńca, ale jeszcze

* To co dalej powiedzieć miał poeta, ma o tyle cechy prorocтва, że... jest niemal dosłownym przykładem z o wiele późniejszych rozważań angielskiego pisarza Oskara Wilde'a (1854 — 1900) w jego „Intentions” („Dialogi o sztuce”).

bynajmniej nie przekonane treścią jego słów. Toteż orator gromadził nowe argumenty:

„Choć to się może wydawać paradoksem — paradoksy są zawsze niebezpieczne — nie mniej prawdą jest, że życie o wiele więcej naśladuje sztukę, aniżeli sztuka naśladuje życie. Widzieliśmy, jak pewien ciekawy i urzekający typ piękna kobiecego, wymyślony i propagowany przez malarzy nie pozbawionych wyobraźni, wywarł taki wpływ na życie, że każdy, znalazłszy się na jakimś prywatnym zebraniu lub w artystycznym salonie, zobaczył mistyczne oczy, długą szyję z „kości słoniowej”, ostro zarysowany podbródek, ciemne falujące włosy, usta podobne do rozkwitłych pąków, twarz bladą ze wzruszenia i szczupłe długie ręce. I tak było zawsze. Wielki artysta stwarza jakiś typ, a życie stara się go naśladować, spopularyzować”.

I wskazując na jedno z płócien dodał: „Ani Holbein, ani Van Dyck nie znaleźli tych typów, którymi nas potem obdarzyli. Przynieśli je razem z sobą na świat, a życie obdarzone zdolnością do naśladowania, dostarczyło kopii. Grecy swoim instynktem artystycznym rozumieli to i dlatego stawiali do pokoju młodej kobiety posązek Hermesa lub Apollina, aby jej dzieci rodziły się równie czarujące, jak te arcydzieła, na które patrzyła w chwili uniesienia i bólu. Grecy wiedzieli, że życie czerpie ze sztuki nie tylko głębiej myśli i uczucia, wzruszenie, lub spokój ducha, ale, że może również kształtować się według linii i barw dzieła sztuki i że może dorównać godności posągów Fidiasza i wdziękowi rzeźb Praksytelesa. To sztuka jest rzeczywistością, a życie zwierciadłem”. (Panie odru-

chowo wyjęły pułdnerka i zaczęły się przegłądać w lusterkach).

„Stąd też biorą się zarzuty przeciw realizmowi. Potępiano go z pobudek raczej społecznych, czując, że za jego sprawą ludzie stają się — mierni. My na przykład próbujemy poprawiać rasę przy pomocy stosowania świeżego powietrza, słońca, wody i obrzydliwych nagich budynków, przeznaczonych na mieszkania dla niższych warstw (jeszcze nie używano się wówczas określenia: proletariatu). Ale metody te przynoszą co najwyżej zdrowie, nigdy zaś nie rodzą piękna. Do piękna potrzeba sztuki, zaś prawdziwymi uczniami wielkiego artysty nie są jego następcy i naśladowcy, lecz ci, którzy upodobią się do jego dzieł sztuki. Bądź do rzeźb, jak za Greków, bądź do malarstwa, jak obecnie. Krótko mówiąc: życie jest jedynym i najlepszym uczniem sztuki...”.

Towarzystwo powoli przechodziło z jednej sali do drugiej. Pierwsza szła pani Komarowa z córkami. Tymczasem mówca upierał się dalej przy swoim:

„Życie bądź odtwarza typy wymyślone przez artystę, bądź urzeczywistnia twory jego fantazji. Mówiąc naukowo, zasada życia, energią życiową, jakby to powiedział Arystoteles — (Tu skrzyżowały się spojrzenia dwóch pań: „Z których to Arystotelesów?”) — jest po prostu pragnienie wyrazu, a sztuka zawsze rozporządza różnymi środkami, przy których pomocy można ten wyraz osiągnąć. Życie często czerpie z tego źródła. Ileż to razy naśladowano w życiu bohaterów powieści?”

„Zresztą przyroda, która jest przecież tak samo formą życia, nie mniej naśladuje sztukę, wzorując się na malowanych krajobrazach i biorąc z nich swoje efekty. Zmianę, jaka zaszła w klimacie Londynu w ciągu ubiegłych dziesięciu lat, należy całkowicie przypisać pewnej szkole malarskiej”. (Perlisty śmiech hrabiny Hermanowej Potockiej przerwał pocięte wywody). „Nie ma powodu do śmiechu — szorstko zareagował cicerone — wyśtarczy rozważyć te sprawy z naukowego lub metafizycznego stanowiska, aby się okazało, że mam słusność, bo czymże jest przyroda?”.

„Przyroda nie jest Wielką Matką (pogańskie bóstwo płodności), która nas urodziła — mówił dalej poeta — jest ona naszym tworem. Wyłęgła się w naszym mózgu. Rzeczy istnieją dlatego, że my je widzimy, a to, co my widzimy i jak je widzimy, zależy od sztuki, która wywiera na nas swój wpływ. Patrzenie na jakąś rzecz jest czymś zupełnie innym od widzenia jej. Można nie widzieć niczego tak długo, dopóki nie zobaczysz się w czymś pięknym. Ludzie widzą dziś owe mgły nie dlatego, że te mgły istnieją naprawdę, lecz dlatego, że poeci i malarze wpoili w nich... czar mgły. Teraz przyznać trzeba, że doprowadzono mgły do przesady. Stały się manierą pewnej kliki i realizm tych artystów przyprowadza znudzonych ludzi... o brzochnie. Tam, gdzie człowiek kulturalny doznaje wzruszeń z powodu jakiegoś efektu, tam człowiek nieokrzesany dostaje tylko — kataru”.

„I dlatego bądźmy... kulturalni i próbmy sztukę, żeby przetwarzając, tworzyć rzeczywistość. I chyba już to uczyniła sztuka, stwarzając jakiś nieporównywal-

ny efekt — przechodzi do czegoś innego; natomiast przyroda, nie zdając sobie sprawy z tego, że naśladowanie może być najszczerzą formą obelgi, z uporem naśladuje ten właśnie efekt sztuki, a wszyscy są nim doszczętnie znuczeni”. (Wyczuwając — zresztą niesłusznie — jakąś aluzję do siebie, panie ukradkiem sprawdziły podobieństwo swoich tualet. Ale pocięte chodziło o coś innego).

„Nikt prawdziwie kulturalny nie będzie dziś, po Turnerze, mówił np. o pięknie zachodzącego słońca — konkludował — zachody słońca stały się efektem zupełnie przestarzałym. Podziwiać je jest oznaką prowincjonalnego smaku. Nie mniej jednak są ludzie, którzy to dalej czynią. Jasnym jest jednak, że gdy sztuka jest bardziej różnorodna, przyroda staje się bardziej urozmaicona. Nawet zachody słońca”.

Najbardziej rezolutna osoba w tym towarzystwie, księżna Surveilliers zareagowała bezzwłocznie:

„Mon cher Jules, o ile cię dobrze rozumiałam — mówili do siebie na ty od ostatniego spaceru w ogrodach Kaszyny (po włosku: Le Cascine, gaje; dziś

jest tam amerykański obóz wypoczynkowy) — sztuka nie może naśladować natury dlatego, że powstałoby o wiele więcej kłótów i kiczów, aniżeli dobrych obrazów czy rzeźb”.

„Ależ tak, chere princesse” — potwierdził poeta ubawiony tym sprytnym i dowcipnym wnioskiem, popartym zresztą mniej lub bardziej szczerą aprobatą reszty towarzystwa.

Kiedy wszyscy zbliżali się do małego, niepozornego obrazu ze szkoły Pawła Weronese w sali zwanej „Del'Educatione”, pod nr. 135, z głębokim przekonaniem powiedział poeta:

„Naśladować naturę, to wyrzekać się sztuki, a wyrzekać się sztuki, to wyrzekać się Boga. Tak, bo sztuka jest tym, co człowiek dodaje do tworu Boskiego, jakim jest natura, aby samemu upodobnić się do Stwórcy. Tu jest jeden z tych punktów, w którym człowiek styka się z nieskończonością. Staje się twórcą z łaski Stwórcy, jeśli Ten da mu talent i możliwości jego rozwoju. Artysta jest tylko twórcą swego dzieła, ale naprawdę jest stwórcą swojej

odmiany sztuki, swojego stylu. Pod tym jednak warunkiem, że nie naśladując przyrody stworzy dzieło, w którym nam jej piękno się objawi. Więc z nieświadomości, jakby z niebytu przejdzie w stan istnienia, zacznie istnieć na wzór i podobieństwo dzieła sztuki”.

Poeta przez chwilę zapatrzył się zamglonymi oczami na ten niewielki obraz i potem szybko powiódł panie do powozu, sam wracając pieszo do domu, aby wysłać do matki list, który przerwaliśmy na początku. — Dalszy ciąg listu brzmiał jak następuje:

„W galerii tej jest jeden mały obraz, który mi łyzy z oczu wycisnął... jest to malowidło Pawła Weronese, wystawiające Chrystusa, który się żegna z matką idąc do Jeruzalem, aby umarł. Twarz tej matki, pokora syna, który zdaje się przepraszać za to, że ją samą na świecie zostawia, prostota miejsca, gdzie się to pożegnanie odbywa — wszystko mię porzuciło niewypowiedzianie, i kocham malarza, że mu taka myśl, nie wspomniana w ewangelii, przysłała do głowy”.

Florence, w październiku 1945.

On

WYSTAWA „ART-CLUBU”

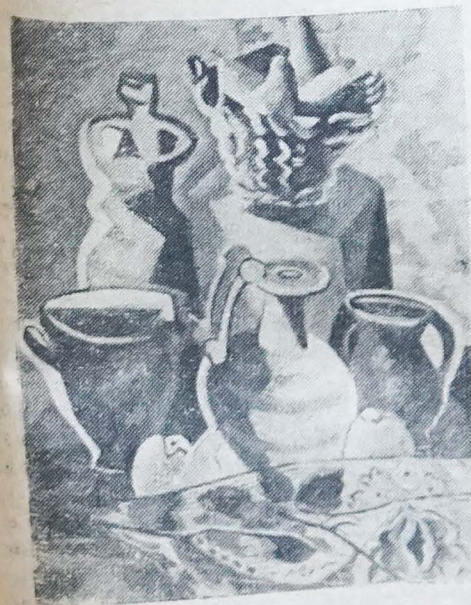
Ruch artystyczny we Włoszech rozwija się z coraz większą dynamiką. Jeśli ograniczyć się do jednego działu — malarstwa — znaleźć można na to wiele dowodów. Jeszcze podczas wojny, gdy jakaś część kraju znalazła się poza zasięgiem działań wojennych, przystępowało od razu do organizowania większej

w Rzymie międzynarodowe stowarzyszenie artystyczne pod nazwą „Art-Club”. Wkrótce po powstaniu tej instytucji wystąpiła ona z inauguracyjną wystawą pod nazwą „Ciągłość” (Continuità), wezwaniem „Ciągłość” (Continuità). Chodzi zarówno o ciągłość pracy galerii, w której ją urządzono, jak i o ciągłość historyczną reprezentowanych kierunków.

Urządzono ją mianowicie w Galleria San Marco, która stała się siedzibą „Art-Clubu”, na ulicy del Babuino pod nr 65, i obeślano kilkudziesięciu dobranymi płótnami olejnymi, rysunkami i rzeźbami 36 artystów (w tym 5 kobiet), reprezentujących 11 różnych narodowości europejskich. Na czoło wysuwają się nie tylko liczebnością włosi (17 artystów - plastycznych), ale i ich nazwiskami. Są bowiem wśród nich takie nazwiska, jak Severini, Prampolini, Guzzi, de Pisis, Morandi itd. Bezpośrednio przy nich stoją Polacy w dobrze nam znanym gronie Jaręmy, Westwalewicz, Turkiewicz, Kościakowski, Domański, Haara, Gletta i nowo przybyłego Mariana Szyszko Bohusza, który wystąpił z serią portretów rysunkowych, wykonanych w obozach jenieckich. Dalej idą przedstawiciele innych narodowości słowiańskich jak Bułgar A. Peikow, Austriacy G. K. Beck, i A. Fiedler, Szwajcar E. Huber, Węgier A. Tot i dwaj Rumuni Dragutescu i Iliu. Wśród kobiet, oprócz Polki Krystyny Domańskiej, znajdują się: Słowenka Bara Remec, Rosjanka Lidia Franchetti, Holenderka van den Brandeler i Szwedka S. Hammar. Zupełnym przypadkiem brak Francuzów w tym zespole z powodu nieobecności w Rzymie przedstawicieli awangardowego modernizmu.

Na wystawie tej charakterze i dojrzałości pod względem nowoczesnego pojmowania zadań artystycznych. Wszyscy są modernistami, choć gama kierunków waha się od żywo nawiązujących do Ceha się od żywo nawiązujących do Ceha zana przedstawicieli szkoły rzymskiej, operującej przede wszystkim stosunkami tonalnymi w malarstwie, po przez post-

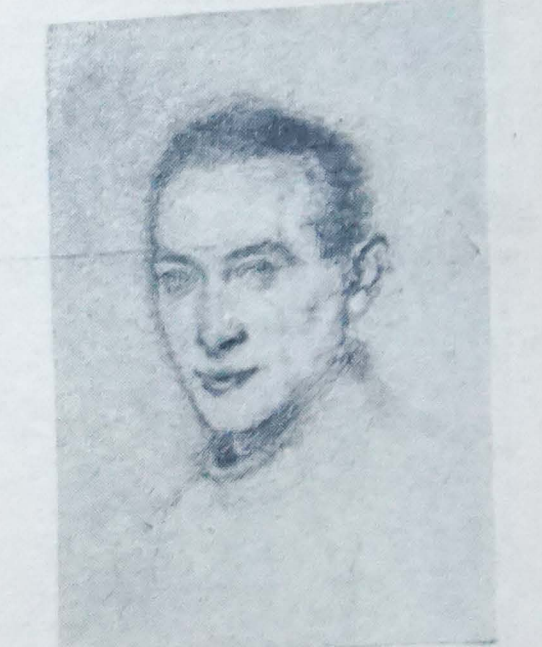
impresjonistów z pośród Polaków aż do bardzo dojrzałych kontynuatorów kubizmu i innych odmian tzw. futuryzmu. Jest więc wyraźny przekrój tego, czym jest naprawdę współczesne malarstwo europejskie, choć dla szerokiej publiczności jest ciągle jeszcze tworem niezro-



Severini — martwa natura

manifestacji sztuki. Równocześnie zaczęto organizować wystawy bardziej specjalne, jak np. wystawy malarzy obcych i własnych, współczesnych, wśród których poczesne miejsce zajęły dwie wystawy malarzy-żołnierzy 2. Korpusu.

Teraz w stolicy Włoch rzucono przed oczy publiczności pokaz o zupełnie swoim obliczu pod względem zasięgu i charakteru. Po mniej więcej półrocznych wysiłkach organizacyjnych, z niepoślednim udziałem Polaków, zawiązało się



M. Bohusz-Szyszko — portret

zumiatalem, spornym i zaledwie niechętnie tolerowanym.

Na otwarcie wystawy „Art-Club” wydał w formie periodyku katalog zawierający szereg deklaracji jego członków, a między innymi artykuły Jaręmy, Guzziego, Prampoliniego, Severiniego, statutu klubu i kronikę artystyczną. Pod koniec roku zapowiedziane jest zorganizowanie nowego salonu, w pełni reprezentacyjnego dla plastyki ostatniej doby, której rozwój wojna bynajmniej nie zdołała zahamować.

Pen

WSZYSTKO TO JUŻ BYŁO...

Drukując w poprzednim numerze „Ochotniczek” swój skromny artykuł p.t. „Wiedza, bomba i kobieta”, anim puszczając, że nad głową swą rozpętał burzę. Prawda, że taką „w szklance wody”, ale mała to pociecha, skoro ja w tej właśnie szklance żyć muszę, a uciec w obecnych warunkach, bez rozkazu i karty zaprowiantowania — ani pomyśleć! Skoro więc najłepsze stworzenie, przyparte do muru, gdy mu calizna przecina ucieczkę, potrafi w obronie swej skóry pokazać zęby, coż i mnie pozostaje, jak stawić czoło napaściom i z dowodami w ręku, do upadłego bronić poruszonych teorii.

Przed wszystkim jednak mam pewien żal do pisma, które, prawda, uczęszczało mi gościny, lecz równocześnie zastawiło chytą pułapkę. Pisałem szczerą prawdę (bo jakże by inaczej!), lecz równocześnie w głębokim przekonaniu, że czytać ją będą niewiasty, a więc płeć, która, nawet w złotym wieku kantyniarzy i drażwerki, ze ścisłością i dodawaniem zawsze jest trochę w niezgodzie. Tymczasem, na trzeci dzień po wyjściu numeru, przychodzi do mnie różni matematykowie i inżynierowie, stawiając najdziwniejsze zarzuty, żądając źródeł, dowodów. Pokazało się niezłomie i ponad wątpliwość, że i te „sfery” „Ochotniczek” czytają i to widać od deski do deski, skoro i „mnie” przytępnego znaleźli. Jest to oczywiście casus dla redakcji przyjemny, niemniej jednak na mnie ścigał poważne, a nie przewidziane kłopoty.



Giorgio Stradano (1570 r.): „Alchemik”
Palazzo Vecchio, Florencja

Bo o co prześladowcom mym chodzi? Przecież nie o teorię rozbitcia atomu, ani o jego budowę, bo to są rzeczy znane i nie kwestionowane przez nikogo. Nie o wnioski na temat „końca świata”, ani o zasługi kobiety w dziedzinie wiedzy, bo i te już dostrzeżono ostatecznie i nauczono się z nimi liczyć. Burzę nad moją głową wywołała alchemiczna wycieczka. Bo pomówię dzisiejsze osiągnięcia nauki ścisłej o „plagiat”, doszukiwać się sensu w średniowiecznych i dawniejszych bredniach o kamieniu filozoficznym, o złocie, może Cagliostro windowała znowu na ołtarz? I żeby to napisał jakiś korespondent wojenny, którego ścisłość zajaśniała tak niedawno w pamiętnej tryumfalnej notatce: „Sprzymierzeni są już od Rzymu w odległości armatniego strzału!” A że do tego i inni znajomi z tejże branży, choć nie mówią (tacy zawsze najgorsi), spoglądają na mnie spod łba jak ongi dyplomowani lekarze na „kolegę” Wojnowskiego, stało się jasne, że bronić się muszę i „Ochotniczek”, podstępnie pojmałszy mnie w zasadzkę, kart swych dla tego celu odmówić nie może.

Złożeniem artykułu poprzedniego, poza celem ścisłego, lecz popularnego przedstawienia teorii budowy atomu, w związku z tym atomowej bomby, było melanchojne stwierdzenie, że jak wszędzie i zawsze... wszystko to już właściwie było. Że dalej, prawdziwi uczeni średniowiecza i starożytności, prawdopodobnie znali teorię budowy a-

tomu, a może i jego rozkład, że dzieła ich pisane mętnie, pełne przenośni i alegorii, dziwnie „pasują” do ostatnich, na tym polu zdobyczy. Poszukajmy więc jeszcze raz w starych szpargałach i przedstawmy na tym miejscu kilka wypisów, pozostawiając zestawienia i wnioski całkowicie dobrej woli czytelnika.

Jednym z najstarszych alchemicznych przepisów, już o motywacji teoretycznej, jest pisana po łacinie, z powołaniem się na nieznaną tablicę chaldejską: „Tablica Szmaragdowa Hermesa Trzy Razy Wielkiego”. Tekst polski, w moim tłumaczeniu i z moimi przypiskami w nawiasach, głosi: „...Bo prawdziwym i bez kłamstwa jest, że to co jest na górze, jest takie samo jak to co jest na dole (materia i energia kosmiczna?) i służy do stworzenia jednej rzeczy cudownej. Tak jak wszystko co powstało — powstało z jednego i za pośrednictwem jednego. W ten sposób wszystko zostało stworzone z tej jednej rzeczy przetworzonej (energii?). Ojciec jego — Słońce, (według starych oznaczeń — ładunek dodatni), Matka — Księżyc (ładunek ujemny), wyniosły Wiatr w trzewiach swoich (neutron?). Karmicielką jest jego Ziemia. W nim źródło całego wszechświata. Jego siła staje się zupełna jeśli zwrócony jest ziemi (rozbitcie jądra?). Jest on mikrokosmos, bo jest jeden potrójny jako ciało, duch i dusza (proton, elektron, neutron), złączony w cudownej proporcji natury”.

I dalej, opuszczając zawiłe i naprawdę mętne przepisy laboratoryjne, pisze we wnioskach końcowych: „Pismo moje da ci fundament. Szukaj cierpliwie, a skoro dojdiesz, korzystaj i strzeż tajemnicy, nie podając nikomu, jeśli chcesz żyć długo na ziemi”. Ostatnie zdanie wydaje się najlepszym świadectwem, że „Hermes Trzy Razy Wielki”, pomijając jego wiedzę istotną, obdarzony był zdrowym sensem i trzeźwą oceną swych (a niewątpliwie i naszych) współplemieńców.

A oto Roger Bacon (1214-1294) w „Speculum Alchimiae” mówi o otrzymywaniu filozoficznego kamienia: „Materia, która jest najcięższa (oczywiście uran) i zwie się Lwem zielonym, ponieważ gdy się rozpłaszcza tę barwę przybiera. Wsadź do przyrządu i wyciągaj zń pot serdeczny. Wtedy będziesz miał w swej mocy ciało owe zwane Wiatrem Hermesa, które jest kluczem wszyściego”.

A, że dla otrzymania „kamienia” można używać jedynie pierwiastków najcięższych, świadczy już Sokrates w zdaniu: „Wiedzie, że prócz naszego ołowiu (w odróżnieniu od zwykłego) nie ma niczego innego, co by mogło dać ciało, które ma życie” (Sokrates, Turba Philosophorum).

Jak widzimy, nie ma dotychczas wzmianki o złocie jako czymś jedynym, do czego dążono. Że jednak żadna ludzkość stała do ma na oczach i zacieśnia swe pojęcia o wiedzy do tego jedynie dowodu, już o Arystoteles, w swym traktacie: „De Mineralibus”, mówi o budowie materii, wypowiada sztydziej ten temat uwagi: „Zanim nie zobaczycie złota i srebra, z pewnością podawać bę-

dziecie, że wiedza nasza nie jest prawdziwa. Jeśli jednak zrozumiecie cudowny mechanizm działania natury, wątpić przestaniecie w prawdziwość naszych teorii”.

A skoro już mówimy o tym namacalnym dowodzie ówczesnych możliwości — o złocie, posłuchajmy co i o tym mówią stare notatki.

Georg Ripley (umarł w 1490 r.), początkowo kanonik w Bridlington, później prałat domowy Papieża Innocentego VIII, pod koniec życia członek Zakonu Karmelitanów, w dziele swym: „Opera omnia Chimica”, daje szczegółowe przepisy fabrykacji złota. Zgodnie z świadectwami współczesnych stwierdzają, że ten ubogi braciaśzek, pracując w swej klasztornej pracowni, zrobił go tyle, że ofiarował Zakonowi Joannitów 100.000 liwrów dla obrony wyspy Rhodos przed Turkami.

Niewyczerpaną skarbnicą wiadomości tego rodzaju jest opracowana źródłowo książka pt. „Alchemia i Alchemicy” G. C. Focca. Oto niektóre z tych opisów:

W roku 1618, do znanego wówczas przeciwnika alchemii, Van Helmonta, zgłosił się nieznaną człowiek, oferując wraz z opisem użycia, pewną ilość jakiejś substancji. Van Helmont, jak podobno opisuje w swych pamiętnikach, stosując ten środek we własnej pracowni, przerabiając ręką na czyste złoto. Od tej chwili zmienia zdanie i z przeciwnika staje się fanatykiem alchemii. Szuka do końca życia metody odtworzenia owego tajemniczego proszku, jednak już bez rezultatu.

27 grudnia 1666 roku Johan Friedrich Schweitzer, znany pod nazwiskiem Helwejusza, lekarz nadworny księcia d'Orange, robi publicznie eksperyment, przerabiając ołów na złoto.

20 czerwca 1716 roku emisariusz słynnego Lascaris przybył na Dwór Wiedeński i w pałacu księcia Schwarzburga robi, w obecności i pod kontrolą ekspertów, złoto. Pod protokołem kładą swe podpisy: Józef hr. Wurben, Wilhelm baron Metternich i Ernest hr. Metternich.

I eksperymentów tych, bardziej lub mniej efektywnych, robionych i świadczonych przez ludzi o bardziej, lub mniej znanych nazwiskach, mnoży się na przestrzeni dziejów łańcuch bez końca. Lecz jeszcze raz zaznaczyć tu muszę, że tych kilka przykładów otrzymywania złota, jako najmniej wzbudzające zaufanie, podaje jedynie z „kronikarskiego” obowiązku. Podkreślam, że celem alchemii, we właściwym tego słowa znaczeniu, była przemiana materii w ogóle, będąca wynikiem gruntownego poznania jej budowy. Robienie złota miało być jedynie jaskrawym dowodem i zewnętrzną ilustracją teorii niedostępnych dla ogółu i po większej części używane było przez „zawiedzionych”, niedoszłych adeptów.

A zastosowanie praktyczne w sensie dzisiejszej „bomby”? Nie braknie i tutaj świadectw, o ile liczne „cuda” spróbujemy w ten sposób tłumaczyć. Spalenie Sodomy i zniszczenie murów Jerycha, deszcze ogniste, atmosferyczne burze i wiele, wiele innych dają się w ten sposób wyjaśnić. Gdy się czyta „Wojny Jehowy” z cudami Mojżesza — bomba atomowa wydaje się bronią znaną, a umiejętność jej użycia przechodzi dzisiejsze możliwości.

Na zakończenie tej części przytoczę

słowa rzeczownika oficjalnej wiedzy wielkiego M. Berthelota, napisane w czasach, kiedy o budowie atomu i możliwościach przemiany materii nikomu się jeszcze nie śniło. W „Les Origines de l'Alchimie”, wydanej w r. 1885, na str. 280 mówi: „Pominąwszy formuły magiczne i symboliczne, którymi się otaczali alchemicy, możemy dostrzec teorie istotne ich filozofii, które się redukują do pewnej ilości myśli jasnych, przerysowanych, z których wiele przedstawia dziwną analogię z koncepcjami naszych czasów. Dlaczego nie możemy tworzyć siarki z tlenu, selenu z siarki przez jakieś określone naukowe procesy? Dlaczego z kolei selen i tellur nie mogą być przetworzone w siarkę, a ta znowu zamieniona w tlen?” — I dalej na str. 297: „Nic w rzeczy samej nie przeczy temu z góry i z całą pewnością, powtarzam to, nie można twierdzić, że fabrykacja ciał prostych jest a priori niemożliwa”. Tak mówi wielki Berthelot, który nie znał dzisiejszej bomby, lecz który znał dawną alchemię.

Tak już jednak jest na świecie, że ludzie, przywykli do życia dniem dzisiejszym, inne stosują miary do „dzisiaj” i „wczoraj”. Oszołomieni postępami wiedzy, wierzymy na słowo każdej rewelacji, każdej bajce z tysiąca i jednej nocy, byle by to było „w Ameryce” byle by to jakiś wielki mąż „ujawnił”. Skoro już tak być musi, niech mi wolno będzie przytoczyć kilka „ujawnionych” osiągnięć naukowych ostatnich czasów, które w przeciwieństwie do bomby, napewno prototypów w dawnych czasach nie miały.

Otoż, biorąc przytomnych na świadków, nie tak dawno przecież czytałem o dokonaniach w Ameryce wynalazku pocisków w ścigających samoloty. Bo to mierzyć, celować — i długo i zawsze trochę Pan Bóg te kule nosi. A tu byle lufę do góry — bach, pocisk

leci, samoczynne stery dźwiękowe się otwierają i jazda za samolotem! Jeśli te leca w kluczu, to oczywiście za największym, bo taki warczy najgłośniej. Próby zostały uwiecznione doskonałymi wynikami (pisało!) i pewnie dlatego Japończycy nie latali nad Ameryką.

Trzeba przyznać uczciwie, że jeśli o fantazję i rozmach chodzi, to Amerykanie w pełni podtrzymują tradycję. Po kapitulacji Niemiec i po ogłoszeniu ich planów odnośnie pocisków rakietowych, pewien poważny businessman, poradziwszy się ekspertów, złożył do odpowiednich czynników podanie o... zezwolenie na zorganizowanie regularnej komunikacji z Marsem, zastrzegając sobie prawo wyłączności. Bo to inaczej, powiada, że mu się nie opłaci, że koszt... pewnie asekuracja...

A oto wiadomości ostatnich dni. Opowiadając o arsenale straszliwych narzędzi wojny, czekających na zastosowanie praktyczne, pewien mąż stanu „ujawnił”, że w posiadaniu jego rządu jest pocisk, sterowany „na ciepło”. Czułość jego jest tak olbrzymia, że gdy dla przykładu umieści się go w pokoju, wystarczy chuchnąć przez dziurkę od klucza, a ta bestia już leci... Drżycie kopalnie zauralskie, sypcie się w gruzy tajemnicze fabryki „Atomogradu!” Tylko, co się stanie, jak taki pocisk będzie przelatował np. nad kominami Nadrenii, lub gdy w danym kraju będzie lato, a u przeciwnika zima? Tego niestety informator nie ujawnił.

Gdy jednak jakiś sceptyk uparty spróbuje porównać rewelacje dzisiejszych i dawnych czasów, gdy odrzuci zewnętrzna łupinę stylu i formy publikowania, niewątpliwie uśmiechnie się melancholijnie, stwierdzając jeszcze raz za Ben Aklą: — „a jednak, wszystko to już było...”

Inż. Henryk Majewski

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI W RZYMIE

Dzień 11 listopada w tym roku stał się w Rzymie wielką manifestacją rzymskiego społeczeństwa polskiego, zarówno cywilnego jak i wojskowego przebywających w Rzymie. Uroczystości, zorganizowane przez Komendanta Miasta Rzym i Związek Ziemi Wschodnich Oddział „Włochy”, dały społeczeństwu polskiemu w Rzymie okazję do zaminifestowania swych patriotycznych uczuć.

Tłum ludności cywilnej i wojska wypełnił po brzegi kościół św. Stanisława. Po nabożeństwie delegacje udały się przed pomnik Marszałka Piłsudskiego na wale Piłsudski, gdzie u stóp pomnika złożono trzy wieńce, od przedstawicieli Rządu R. P. Ambasadora Papieża i Ministra Janikowskiego, od oficerów i żołnierzy garnizonu Rzym i od polskiej Kolonii cywilnej w Rzymie.

Z kolei 2.100 obywateli i żołnierzy zebrało się na poranku w kinie Barberini. Na wstępie wygłosili przemówienia Min. Janikowski i płk. Ostrowski, Komendant Miasta Rzym.

Sztandar ufundowany przez polskie społeczeństwo cywilne w Rzymie dla Karpackiego Pułku Ułanów ręczyli przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego delegacji Pułku.

Tenor Eugeniusz Szumpich-Valori przy akompaniamencie por. Jerzego Kropiwnickiego odśpiewał szereg pieśni polskich — Moniuszki, Karłowicza, Szopena, Żeleńskiego, przyjętych z najwyższym uznaniem przez publiczność.

Podniosły nastrój święta znalazł swój wyraz między innymi w gorącym oklaskiwaniu przez publiczność polskich filmów: „Monte Cassino”, „Błękitni Chtopy” i Kroniki z poświęcenia cmentarza na Monte Cassino. Słowa gen. Andersa, padające z ekranu, pełne wiary w to, że do Wolnej Polski dojdziemy mimo tysiąca przeszkód, zebrana publiczność przyjęła bardzo gorąco.

Uroczystość rzymska miała charakter skromny i wewnętrznie polski. Mimo tego w uroczystościach m. in. wzięli udział, dając wyraz swym serdecznym uczuciom dla trwającej walki o Niepodległość Państwa Polskiego i zrozumienia narodów naszej doli, przedstawiciele narodów Międzymorza z Ministrami litewskimi Łozoraitisem i Girdwainisem, Min. łotewskim Spekke, gen. serbskim Michajłowiczem na czele. Na uroczystości przybyli licznie: Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Słowacy, Bułgarzy, Serbowie, Słowacy, Chorwaci i Węgrzy.

KLEOPATRA

„Zaopatrzyła się więc w ogromną ilość darów, w składzie całe złota i srebra i bogactw wszelkich i ozdób przepysznych — łatwo uwierzyć było można, że wyniosła to wszystko z domu tak wspaniałego i z królestwa tak bogatego jakim był Egipt. Jednak nie z sobą nie wiozła, w co by większe pokładała zaufanie niż we własną osobę. W magiczny czar własnej przemijającej piękności i gracji”...

Dalej opowiada nam Plutarch, że królowa wezwana kilkakrotnie przez Antoniusza, pogardziła wszelkim innym sposobem podróżowania, a teraz na przepysznej łodzi płynęła z morza rzeką Kydnos aż do Tarsu w Azji mniejszej. Okręt miał dziób złocony i żagle purpurowe; srebrne wiosła poruszały się w rytmie fletów, obojów i cyter. Królowa Egiptu leżała pod baldachimem ze złotolitej tkaniny, w stroju bogini Afrodyty. A wachlowali ją po obu bokach chłopcy o jasnych włosach, podobni do Kupidyna. Najpiękniejsze damy z jej świty przebrane były za Nimfy, Nereidy i Gracie. Jedne kierowały sterem, inne zaciągały sznury i powrozy łodzi, z której bily cudne zapachy słodkich perfum; niezmiernie tłumy, ustawione po obu brzegach rzeki, były nimi owiane.

Czytelnik tego opisu nie przypuszczałby, że tu chodzi, nie o fantazję z tysiąca i jednej nocy, lecz o akt polityczny na zimno, z całym wyrachowaniem do ostatniego szczegółu opracowany, brzemienisty w skutki dla dziejów Rzymu.

Kleopatra przezornie nie zajęła wyraźnego stanowiska w rzymskiej wojnie domowej, która wybuchła po zamordowaniu Cezara. Teraz, po bitwie pod Filipi, po klęsce morderców Cezara, królowa Egiptu miała się wytłumaczyć przed Markiem Antoniuszem z tego stanowiska wyczekującego, które w jej własnie wypadku zdawało się być winą szczególnie ciężką. Przecież Kleopatra tron swój zawdzięczała Cezarowi, miał z nią syna, którego imieniem swoim nazwać pozwoliła, a jej pretensje do samowładztwa poparł siłą czterech legionów rzymskich, które jej zostawił. Nie wiedzieli politycy rzymscy, że ta kobieta o pochodzeniu grecko-macedońskim, ostatnia potomkini rodu Ptolomeusów (nie płynęła w jej żyłach ani kropla krwi egipskiej), była przede wszystkim i ponad wszystko królową Egiptu, kobietą, która swym celom politycznym umiała podporządkować wszystko i w służbie tych celów użyć wszystkiego, co jej życie dało. Toteż wiedziała dobrze kim jest Marek Antoni, żołnierz odważny i świetny dowódca, lecz człowiek krańcowy i krańcowo zmysłowy, przy tym Rzymianin o niewielkiej kulturze duchowej i w tym większych ambicjach filhellenizmu. Wiedziała, że w miastach Azji Mniejszej kazał sobie holdować jako nowemu Dyonysosowi, wobec tego ona, która miała być pociągająca do odpowiedzialności, przyjechała do Dyonysosa jako Afrodyta! A gdy Antoniusz ją do siebie zawezwał, kazała mu powiedzieć, że go oczekuje. Przyszedł i uległ jej czarowi.

Królowa miała wówczas lat 29. Nie była nigdy piękną, lecz głos miała czarujący i sposób bycia, którym umiała

wywierać wpływ magiczny. Zdaje się, że sama nie zaznała uczucia miłości, że nie kochała nikogo, prócz może jednego Juliusza Cezara. Później już jej kobiecość,



Kleopatra
(British-Muzeum w Londynie)

która musiała mieć w sobie coś demonicznego, była dla niej głównie narzędziem politycznym. Wiedziała, ta ostatnia spadkobierczyni tronu Faraonów, że jej Egipt jest straszliwie zagrożony. Po-



Okławia (Louvre-Paryż)

stanowiła go więc ratować w sojuszu z Rzymem, skoro to wbrew potęgze Rzymu było niemożliwe. Szczególnie sprzyjającą wydała się chwila, kiedy Rzym

miał dwóch władców i zdawał się rozpaść na dwa światy: Wschodu i Zachodu.

Antoniusz, ulegając Kleopatrze, pojechał z nią do Aleksandrii, i tam wśród przepychu i zbytku trwonął czas, który doskonale wykorzystywał tymczasem jego partner, przyszły pan świata, młody Cezar Octavianus. Po roku spędzonym przy Kleopatrze, Antoniusz ją opuszcza na razie i raz jeszcze zawiera ugodę z rywalem. Bo i Antoniusz był politykiem, tylko gorszym od obu swych partnerów, od przyszłego Augusta i od Kleopatry. Wdziął w tej chwili duże korzyści, które mu dawała owa uгода — czyniąc go wielkopańszą wschodniej połaci Imperium.

Okławian ze swej strony, pragnąc przeciwstawić niebezpiecznym wpływom królowej Egiptu, i zarazem wiecznie niepewnego Antoniusza związać z sobą węzłem rodzinnym, dał mu swą ukochaną siostrę Oktawię za żonę. Była ona od Kleopatry niewątpliwie piękniejsza, pełna godności osobistej, mądra i ogromnie dobra. Trudno sobie wyobrazić kontrasty bardziej skrajne, dwie kobiety bardziej do siebie nie podobne — obie wywierające silny wpływ na kierowników polityki ówczesnej. Oktawia reprezentowała tę samą mądrość, trochę chłodną cnotę, umiar i powagę, dzięki którym jej brat miał stać się pogromcą Antoniusza i założycielem Imperium. Jako kobieta musiała jednak przegrać na dłuższą metę we współzawodnictwie z Kleopatą. Przez cztery prawie lata była aniołem opiekuńczym swego męża, który ją opuścił, gdy zerwanie z Okławianem stało się nieuniknione, a w związku z tym jej polityczna rola się skończyła. Natomiast skarby Egiptu stały się dla Antoniusza koniecznym potrzebne dla wyprawy, którą przygotowywał przeciw Partom.

Zdaje się, że i Kleopatra przez ten czas troskliwie pilnowała Antoniusza z daleka. Astrolog egipski ze świty Antoniusza chyba działał z jej rozkazu, gdy ostrzegał swego pana przed sprzymierzeńcem, który zaćmi jego gwiazdę, o ile Antoniusz się od niego na zawsze nie oddali.

Gdy w roku 37 powrócił do Kleopatry, poślubił ją, nie wzięwszy rozrodu z Oktawią i uznał bliźnięta, które mu już w 40 roku urodziła. Skorzystał w ten sposób z prawa poligamii, przyjętego przez władców Wschodu i przede wszystkim przez samego Aleksandra Wielkiego. Imieniem tego ostatniego nazwał też swego syna. Tak Kleopatra, jak i jej dzieci zostały obdarzone przez Antoniusza wielkimi darowiznami terytorialnymi, Antoniusz bowiem dysponował już tymi ziemiami jako samowładca. W zamian za to Kleopatra finansowała wyprawę przeciw Partom, która się nie powiodła.

W Rzymie tymczasem podniecał Okławian opinię publiczną przeciw rywalowi. Ułatwiał mu to sam Marek Antoni owymi darowiznami prowincji rzymskich, mi darowiznami całym swoim wyrazem przede wszystkim całym swoim wystąpieniem, jako władcy wschodniego a nawet boga egipsko-greckiego, jako Orisa - Dyonysos przy Kleopatrze - Izydzie - Selenie, przy tej kobiecie, uchodzącej w oczach patriotów rzymskich za tajemni-

czego i magicznego demona Wschodu, który opętał Antoniusza. Toteż jej a nie jemu wreszcie wypowiedział senat i lud rzymski wojnę.

Kiedy przyszło do ostatecznej rozprawy, Kleopatrze na zupełnym zwycięstwie Antoniusza zbytnio zależeć nie mogło, gdyż pogromca Oktawiana opuściłby ją, a jej Egipt popadłby w zależność od dalekiego Rzymu. Kiedy zaś wszystko było stracone, potrafiła po królewsku zejść z widowni dziejowej. Po przegranej pod Actium, w której jej rola chyba nigdy nie zostanie zupełnie wyjaśniona, gdy już zawiodły ostatnie nadzieje na obronę Egiptu, Antoniusz na fałszywą wiadomość o śmierci Kleopatry, sam sobie śmierć zadał. Konającego zanieśli do grobowca

Alarm.. Alarm... — na dźwięk tych słów magicznych niby obietnica przepustki w dzień powszedni, zrywamy się wszystkie z sienników, jak jedna ochotniczka (wyrażenie: „jak jeden mąż”, wydaje mi się dość nieodpowiednie w obozie P.S.K. Małcerata), i ocknąwszy się ze snu, zaczynamy serdecznie się śmiać, próbując jednocześnie trafić jakimś cięższym przedmiotem w koleżankę, która nam urządziła taką pobudkę.

Choć od dłuższego czasu nie alarmowano nas w ten sposób, pozostaliśmy czujne jak leśne zwierzęta. Ano, przyzwyczajenie jest niby drogą naturą człowieka, a nam wszystkim z naszego oddziału, którzy przez dwa, trzy, a często i cztery lata prowadziliśmy leśne, partyzanckie życie, trudno się odzwyczaić w ciągu kilku miesięcy od dawnej ostrożności.

Alarm... — słowo oznaczające, że zbliża się niebezpieczeństwo, słowo nakazujące „na łeb na szyję” przygotować bojowe, słowo to dało nam się porządnie we znaki. Nie dziwnego. Gdy się „odwaliło” per pedes 30 do 40 km nocnego marszu, a po kilku godzinach musiało się wygrzebywać z siana, czy opuszczać zbudowany przez siebie szałasik, względnie postanie zrobione z liści, i iść dalej w drogę, często przy akompaniamencie strzałów, to czasem człowieka (przepraszam za dosadne wyrażenie) i cholera brała, a jednocześnie i „apetyt” na jakąś zasadzkę na szosie, czy inne przetrzepanie skóry goszczącym w naszym Kraju sąsiadom.

Zawsze jednak panował u nas humor niewiesielczy, choć każdy zdawał sobie sprawę, że gdy wpadnie w ręce bolszewików, czy Niemców, to albo będzie wisiał, albo dostanie „w czapę”, czyli rozstrzelają go. Czego się smuć? Nikt nie szedł z przymusu, lecz z humanitarnej chęci pomocy naszym okupantom w wędrówce ku zaświatom. Nikt też nie pragnął zdobyć żadnego odznaczenia, bo u nas zyskiwało się tylko krzyż brzozy, a do tego zaszczytu nikomu znów nie było pilno.

Zagladano często śmierci w oczy, prawdopodobnie dlatego, że była to

zbudowanego w Aleksandrii przez królową dla nich obojga, w którym się obecnie Kleopatra zamknęła. Tam danym mu było życie w jej objęciach zakończyć.

Później nastąpiła jeszcze jedna scena, o której już współcześni nie pewnego nie wiedzieli, a która po dziś dzień podnieca fantazje potomnych. Dopiero w ostatniej niemal godzinie swego życia miała się Kleopatra spotkać oko w oko z człowiekiem, który przez długie lata pracował cierpliwie i konsekwentnie nad jej zagładą i nad zniszczeniem jej celów politycznych. Jakikolwiek przebieg miała jej rozmowa z Okławianem, przypuszczać należy, że go zaklinała na wielką pamięć Juliusza, by przekonać zwycięzcę i zmienić jego zamiary. Próbowała po raz o-

U NAS

istota płci żeńskiej, a niewiast było u nas stosunkowo niewiele, co koło dwudziestu i to traktowanych jak chłopcy. W spodniach, dużych mundurach, jeszcze większych butach, a w asekuracji przed „zmotoryzowanym łupieżem” ostrzyżone jak żołnierze — maszerowały razem z nami, na musztrach ganiane jak i oni, swoją kobiecość ujawniały jedynie w opatrunkach jako „łapiduchy liniowe”, w praniu, reperowaniu i gotowaniu na postojach i... w niechętnych minach, gdy kazano im trzymać nocną wartę blisko cmentarza. Na szczęście, warty zdarzały się naszym niewiastom wtedy, gdy żołnierze szli na jakąś akcję, albo gdy byli zmęczeni po akcji; wówczas samorzutnie ofiarowywałyśmy swe „babskie” zastępstwo. Trudne nieraz warunki wytworzyły życie koleżeńskie, no i solidarność. Jak już zaznaczyłam, panował zawsze u nas humor, śmiech i pogoda — ducha, oczywiście — gdyż pogoda pochłaniała nam nieraz złości-



Ceremonia ślubna w Czechach, w marszu na zachód: oblubienica „Hajduczek” w sukni upiętej z prześcieradła

statni swych sił perswazji, które zawiodły po raz pierwszy. Gdy chłodny Rzymianin wyszedł od niej bez słowa, zrozumiała co ją czeka: miała być główną ozdobą jego tryumfu. Wkrótce potem znaleziono ją na złotym łożu, nieżywą, w szatach królewskich z koroną na głowie, po obu jej bokach leżały dwie wierne jej służebnice, również od ukąszenia żmij. Zginęły podobno od ukąszenia żmij, którą przyniesiono Kleopatrze ukrytą w koszyku pod świeżymi figami. Listem prosiła Oktawiana o złożenie jej zwłok w grobowcu, przy zwłokach Antoniusza. Nowy władca Egiptu uczynił zadość jej życzeniu.

Karolina Lanckorońska

we figle, jak to było w marszu na wieś Bogusławów.

Jak zwykle wyruszyliśmy późnym wieczorem. Romantyczny księżyc, który tak pogodnie spaceruje tu sobie po „italijskim niebie”, u nas bywał kapryśny. Wtedy wieczorem śmiał się do nas z początku całym swym pyzatem obliczem, ale potem w czasie naszego marszu schował się za chmury, przestraszywszy się widocznego wiatru i deszczu. Zrobiło się nagle ciemno, według naszych partyzanckich określeń, jak „u murzyna w żółtaku o północy i po czarnej kawie”. Maszerowaliśmy lasem gęśmiem, często własnym nosem badając głębokość wszelkich dziur na ścieżkach. Tabory wiozące chorzych, żywności i amunicję posuwały się w żółtym tempie po wyboistej wąskiej drodze. A że (jak to utyskiwała tusta jejmość na sztuce „Gdzie diabeł nie może”), „bidnemu to zawsze niedoła i wiatr w oczy wieje”, zmyliliśmy kierunek i wpakowaliśmy się w jakieś bagna, gdzie doprawdy i sam diabeł nie może chyba wleźć. Wozy, niemniej od nas spragnione odpoczynku, grzęzły złościwie w błocie, pały się i trzeba było naprawiać je w świetle rozpalonych dyskretnie ognisk.

Tak borykając się z przeszkodami, wyszliśmy wreszcie z niegościnnego terenu już o świcie i dotarliśmy do m. p. przy litanii utyskiwałam małej sanitariuszki, zwanej popularnie „kotem w butach”, która gdzieś w błocie zgubiła swe olbrzymie buty i musiała teraz maszerować w jeszcze większych, trzymając je dla pewności za cholewy. Rozłoszczona żartami i śmiechem współtowarzyszy błotnej eskapady, klepała tak, że aż niektórym jej koleżankom „uszy zwijały się w trąbkę”.

Trzeba przyznać, że nasz słowniczek partyzancki był często niewybredny. Żołnierz, ciągle narażony na niebezpieczeństwo, wciąż żyjący jak tropiony zwierz, nie bawił się w konwenanse, wyrażając się nie raz dosadnie, bez względu na to, czy był człek z wioski, czy pani-czyk z miasta. W lesie różnice zacierały się, byli tylko koledzy. Wyrażenia górnolotne śmieszyły i nie



Defilują...

miaty praktycznego zastosowania.

Nie zawsze i nie długo kwatrowało się po wioskach, po pierwsze, nie chcąc narażać ludności na ewentualne represje, a powtórze zdarzały się i komuniści, którzy nie obdarzając nas zbyt sentymentem, potrafili Niemcom donosić o naszych ruchach i postojach. Tak było pod Cadowem, gdzie po kilku uciążliwych marszach zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Nie zdążyliśmy się należycie rozkwatrować, a już samoloty niemieckie zaczęły nas „węszyć”. Za chwilę wpłynął meldunek, że tyraliera niemiecka zbliża się od drugiego końca wsi, chcąc nam zagrozić drogę do lasu. Rozpoczęła się walka. Tabory, pod ostrzałem samolotów, pędziły przez pola do bliskiego lasu, a potem dalej i dalej. Nasi, z dwóch stron — od lasu i od wsi zaatakowali Niemców; ci, nie spodziewając się oporu, ponieśli znaczne straty i wycofali się, pozostawiając samolotom pole do popisu. Nim te nadleciały obciążone bombami, my byliśmy już daleko i siedząc cichutko w małym lesie koło Cadowa, obserwowaliśmy jak samoloty krążyły nisko w pobliżu i rzucały bomby.

Na drugi dzień odpoczywaliśmy sobie wesoło w lesie po całonocnym marszu, zjadając smacznie „tę co ryje”. Jedyną bowiem ofiarą niemieckiej próby zaskoczenia nas, była okazała świnka trafiona celnie z samolotu w „żyłot”. Nasze „tapi-duchy”, z przyzwyczajenia nie zostawiając na polu walki nie polskiego, przyciągnęły ją wieczorem na sznurach, wywołując entuzjazm wśród kolegów i niegroźne zresztą napomnienie ze strony dowództwa, że są nieostrzeżone.

Las był dla nas domem i bezpiecznym schronieniem, las był niezawodnym przyjacielem i wiernym sprzymierzeńcem. Chroniąc nas od kontrakcji po wszelkich zasadkach na transporty niemieckie, na

których dozbrajaliśmy się, po wypadach na niemieckie magazyny.

Mieliśmy chwile radości i triumfu, gdy udawało się Niemców wziąć „na kawał” i porządnie nastraszyć, jak to było w małym miasteczku Radoszyce. Nasz patrol, składający się z czternastu ludzi i mający na celu zarekwirowanie tytoniu w pobliskim niemieckim sklepie, zaczął strzelać z broni maszynowej w stronę Niemców. Odnosząc się bujną wyobraźnią, gdyż strach ma wielkie oczy, no i prawdopodobnie żywiąc zamiłowanie do matematyki, wyimaginowali sobie Niemcy, że jest nas bardzo dużo, więc wzniecając za sobą zasłonę z kurzu, wycofali się „planowo” w wielkim nieładzie.

Bywały też niestety chwile smutku, gdy nasi koledzy w czasie akcji ginęli od kul i min wroga, lub wpadli w ręce npl byli rozstrzelani, lub sami zadawali sobie śmierć, wiedząc z góry, że po „tagodnych” badaniach czeka ich kula lub sznur. Płynęły też przynębiające wieści ze wschodnich kresów o prześladowaniu ludności, o przymusowym wcielaniu do armii rosyjskiej, o masowych deportacjach na Sybir, o rozbrajaniu oddziałów partyzanckich na Wołyniu i Polesiu, a potem o bohaterskiej walce w Warszawie.

Żołnierz leśny potrafił odczuwać zarówno radość, jak ból i smutek, z prostotą wprost dziecka, bo tego nauczył go las, nauczył ciągłe obserwowanie z przyrodą, która nie zna zakłamania, podstępów, obłudy i fałszu.

Ofensywa bolszewicka zbliżała się coraz bardziej. Echa walki frontowej stawały się z każdą godziną wyraźniejsze. Co robić? Serce wołało, aby zostać w ukochanych lasach i walczyć dalej. Bolszewicy zbliżali się tuż... tuż...

Wtedy w grupie naszej powstał szalony na pozór projekt, aby, korzystając z zamieszania w walkach

frontowych, przedrzeć się na zachód i dołączyć do aliantów, gdzie znajduje się nasza Armia pod dowództwem gen. Andersa i z nią razem w przyszłości powrócić do Polski.

Zaczęła się wędrówka przez Śląsk Opolski, Łużyce, przez Sudety, Morawy i Czechy. Nieraz zdawało się, że już z nami „klapa”. Kilkakrotnie nasz ksiądz kapelan dawał wszystkim rozgrzeszenie. Lecz wtedy zamiast zwątpienia wstępowała w nas nowa energia i wydawali się — czy to sprytem, czy podstępem, czy to po prostu ślepym szczęściem — z potrzasku. Na przykład pod Solcą zaatakowały nas znięcka czołgi rosyjskie, mając szczyry zamiar sprawić nam gorącą kąpiel. Nie posiadając broni ppanc, musieliśmy wycofać się.

Znać o sobie dawaliśmy czasem, likwidując jakieś drobne oderwane oddziały. Na terenach Czech, w Holiszowie koło Pilzna, uwolniliśmy obóz kobiet różnych narodowości, które przez kilka lat były męczzone przez Niemców.

Jednocześnie uderzyliśmy na tyły armii niemieckiej i likwidując gniazdo oporu, zdobyliśmy masę cennej dla nas broni, żywności oraz upragniony środek lokomocji — auta. I tu spotkaliśmy się po raz pierwszy z aliantami — z III Armią gen. Pattona.

Zespolone dawną leśną pracą, trzymamy się zawsze razem, solidarnie, nawet i w naradach, czy koleżance z naszej „piętnastki” dać koca za wczesną pobudkę, za ten „alarm”, czy też dać się przekupić czekoladą z NAAFI.

Hanka

KRONIKA

Otwarcie szkół powszechnych w rejonie osiedli polskich w Italii

W dniu 20 października br. odbyło się uroczyste otwarcie roku szk. 1945/46 w polskich szkołach powszechnych w Barletta. W uroczystości wzięli udział liczni goście na czele z Dowódcą Do-Area - Bryg. G. P. Clark i Zastępcą D. wódcy Bazy 2. Korpusu — gen. Z. P. Społeczeństwo miejscowe reprezentował okręgowy komisarz rządu włoskiego Giro Conte, przedstawiciele duchowieństwa i delegaci alianckich instytucji filantropijnych, m. in. YMCA, których sumptem urządzona została obszerna i pięknie udekorowana świetlica, (zdobili lokale artyści malarze Ref. Kult. i Prasy Bazy). Otwarte zostały 6 klasowe szkoły powszechne — męska i żeńska — liczące razem około pół tysiąca uczniów. Wrazem około pół tysiąca delegatów, dług informacji przedstawicieli delegacji Ministerstwa Wyzn. Relig. i Oś. Publicznego pana Konkla, w końcu bieżącego miesiąca przewiduje się też otwarcie gimnazjum ogólnokształcącego. Ucząc się dzieciarnia polska jest najmilszym objawem życia w Obozie. Jest to najbardziej realny i piękny wyraz troski i opieki nad cywilnym społeczeństwem.

(c. d. Kroniki na str. 27)

WIZYTA W CADENABII

wał się z nimi w rozmowy. Rozpytywał ich o życie i... o wiadomości o rodzi-



P. Sarah Oliver-Churchill otrzymała bukiet...



Przy stole nie mówiono o polityce...

Pewnego dnia zjawiła się w Domu Wypoczynkowym Żołnierzy 2. Korpusu w Cadenabii młoda pani. Przybyła w towarzystwie kilku oficerów i powitana była przez delegację żołnierską wspaniałym bukietem kwiatów. Kwiaty białe-czerwone i w ogóle ceremonia przyjęcia — bardzo podniosła. Przybyli nawet oficerowie i nawet odświętnie ubrane ochotniczki. Niewątpliwie działo się w Cadenabii „coś ważnego”.

Pani, która przybyła, ma lat 29 i była kiedyś z zawodu tancerką. Po prostu któregoś dnia opuściła dom rodzicielski i zaczęła tańczyć w music hallu. Po pewnym jednak czasie porzuciła teatr i wróciła do domu, aby rozpocząć karierę... dyplomatyczną. Ojciec pani, po którym odziedziczyła temperament, był dziennikarzem, żołnierzem, posłem, Bóg wie czym jeszcze był, aż w 1939 roku został premierem. I dlatego właśnie córka Winstona Churchilla, musiała być na przyjęciach, odwiedzać rozmaite organizacje dobroczynne, oddziały wojskowe itp. — no i oczywiście nie tańczyć, lecz wygłaszać przemówienia. Pani Sarah zadanie to rozwiązywała z równą łatwością, z jaką jej ojciec przysłał doskonałe korespondencje ze wszystkich frontów świata, bił Boerów i wygrywał wojnę z Niemcami.

Winston Churchill zjawił się nad jeziorem Como zupełnie niespodzianie. Przyjechał bez zapowiedzenia w towarzystwie córki i regenta Iraku. Przyjazd był największą tajemnicą. Wiadomo było tylko — co powtarzali sobie na ucho czcigodni obywatele miasta Como — że z przyjazdem jego łączy się coś niezwykle ważnego. I rzeczywiście. Na drugi dzień Churchill wyszedł na brzeg jeziora, rozstał się z stalugi, i... zabrał się do malowania.

Czasami jeździł motorówką i pałac swe nieodłączne cygano, machał przyjaźnie ręką do żołnierzy polskich. Czasami wda-

nie. A któregoś dnia zgłosił się jeden z oficerów brytyjskich do kierownika Ośrodka Wypoczynkowego por. W. i zapowiedział na następny dzień wizytę pani Sarah.

Panią Oliver-Churchill powitała, jak już powiedzieliśmy, delegacja żołnierska, złożona z ochotniczki 2. Korpusu, żołnierza A.K. i uczestniczki Powstania Warszawskiego 11-to letniej Geni, oraz dziarskiego żołnierza, liczącego 14 lat.

Pan porucznik W. i pani podporucznik L., komendantka Domu Wypoczynkowego P.S.K., oprowadzali panią Sarah Oliver-Churchill po wspaniałym urządzonej hotelu, w którym żołnierze polscy spędzają urlop. Następnie wszyscy udali się na podwieczorek. Przy stole mówiono o wszystkim. O skończonej wojnie, o glicznej taflii jeziora wieczorem, o Polkach z Armii Krajowej, o jasnym warkoczach Geni. Pani Sarah wypytywała o życie i troski żołnierzy, rozmawiała z ochotniczkami, które właśnie zdały maturę i spędzały tu krótki urlop. Nie rozmawiano tylko o polityce. Pani Sarah wręcz oświadczyła: „To jest business mego ojca, ja się na tym absolutnie nie znam”.

Porucznik W. wygłosił krótkie, więc doskonale przemówienie, po czym zabrała głos pani Oliver-Churchill. Powiedziała, że przybyła do żołnierzy polskich, aby powitać ich w imieniu ojca, który nie czując się najlepiej, prosił córkę, by go reprezentowała. W jego więc imieniu składa serdeczne życzenia szczęśliwej przyszłości dla żołnierzy i narodu polskiego. „Naród — który tak dzielnie walczył i tyle odwagi wykazał w czasie działań wojennych — powiedziała pani Oliver-Churchill — zajmie odpowiednie miejsce w rodzinie narodów — takie miejsce, na jakie sobie naprawdę zasłużył”.

To było zreczne i prawie „polityczne”. A jednak przy stole — o polityce nie mówiono.

Ludwik Brzeski

KRONIKA

(c. d. ze str. 26)

Sprostowanie

W numerze 9 (24) „Ochotniczki”, w notatce: „Z okazji imienin Inspektorki PSK 2. Korpusu, złożony do dyspozycji Pani Inspektorki „... nie zamieszczono sumy 6.630 lirów, złożonych przez Kompanię Sanitarną 7 Szpitala Wojennego, co niniejszym uzupełniamy.

Kronika P. S. K.

W dniu Święta Umarłych ochotniczki P.S.K. 2. Korpusu uporządkowały groby żołnierskie, przyozdobiły je kwiatami i zapaliły światła w czasie żałobnych egzekwii.

W Marina Franco odbył się pięciodniowy kurs kucharek dla ochotniczek P.S.K. 45 kandydatek zaznajomiło się ze sztuką kulinarną. Po ukończeniu kursu wszystkie kandydatki zostały przy-

dzielone do oddziałów P.S.K. jako wykwalifikowane kierowniczkich kuchni oddziałowych.

W Obozie Przejściowym P.S.K. zako-



Nauka o broni

czył się dwutygodniowy kurs unitarny, który przeszły nowo wcielone ochotniczki.

Szkolenie kierowczyń samochodowych przy Szkole Kierowców 2. Korpusu w San Sepolero trwało od dnia 30 lipca 45 r. do 27 października 45 r. Odbyło się ono w dwóch turnusach po pięć tygodni każdy.

W połowie drugiego turnusu, żołnierze i ochotniczki zorganizowali rewij z okazji pierwszej rocznicy upadku Powstania Warszawskiego. Rewia, utrzymana w tonie poważnym, na tle naprawdę artystycznie wykonanych dekoracji, wywarła na widzach bardzo silne wrażenie.

Pod koniec kursu, Szkoła urządziła dla ochotniczek wycieczkę do klasztoru założonego przez św. Franciszka z Assyżu, w Lawernie.

Pobyt na kursie w San Sepolero będzie jednym z najmilszych wspomnień dla wszystkich uczestniczek.

Igrzyska sportowe

2. Korpusu

Pod jakim by kątem Igrzysk nie rozpartywać — zacząć należy przede wszystkim od organizacji. Wielka reprezentacyjna impreza, której znaczenie propagandowe wychodziło daleko poza ramy sportu, była dla wszystkich komórek, przygotowujących Igrzyska, egzaminem organizacji. My Polacy lubimy narzekać na swoje rzekome niedołęstwo organizacyjne, toteż z pożytkiem będzie zanotowanie jeszcze jednego faktu, stwierdzającego przesadę naszego samokrytycyzmu.

Kto był na Igrzyskach i widział idealny porządek: na boisku, na trybunach, ba — nawet poza stadionem (dziedzina regulacji ruchu), kto kontrolował z zegarkiem punktualne wykonywanie minutowego programu, ten nie mógł znaleźć w organizacji chociaż by najmniejszej „dziury na całym”.

Powodzenie Igrzysk Sportowych, którym przyglądało się ponad 18 tysięcy widzów i w których wzięło udział 1625 uczestników — jest w niemałej mierze zasługą P.S.K. Jeżeli tylko wspomnimy o wybitnej współpracy obu Kompanii Transportowych P.S.K., które punktualnie dostarczyły widzów z miejscowości położonych o przeszło 100 km od Ancony, pozostaje do omówienia obszerny udział ochotniczek w przygotowaniu i w samym programie Igrzysk.

Zacznijmy od tańców narodowych. Mając do dyspozycji tylko trzy tygodnie na przygotowanie, dziewczęta z jednej Kompanii Transportowej i z Obozu Przejściowego P.S.K. potrafiły dać w programie sześć tańców: oberek, kujawiak, trojak, krakowiak, polonez i mazur. Ochotniczki przygotowały nie tylko tańce, ale uszyły sobie piękne kostiumy.

Pokaz tańców, uwzględniony w programie trzykrotnie, jako piętnastominutowe wstawki, wypadł doskonale. Każdemu



(fot. Michalski)

Krakowiak na Igrzyskach Sportowych (Ancona 29. X. 1945)

występowi grup tanecznych towarzyszyły oklaski widzów. Gościom zagranicznym i przedstawicielom prasy obcej szczególnie podobały się nasze tańce narodowe. Przygotowaniem i występami zespołów tanecznych kierowała pchor. Czerednikowa a partnerami sympatycznych dreiwerek byli koledzy ze Składnicy Materiałowej. Ćwiczenia taneczne ochotniczek Obozu Przejściowego i uczniów gimnazjum i liceum w Sarano prowadził por. Garbiak. Zaopatrzeniem tego zespołu w kostiumy zajmowała się pchor. Bocianowska.

Poza tańcami wystąpiły ochotniczki z pokazem siatkówki. Dużą zasługę w tym względzie ma pchor. Lisiecka. W programie Igrzysk odbył się mecz siatkówki pomiędzy drużynami Komp. Transp. P. S. K. i Komp. Łączności P.S.K. Zwyciężyła Komp. Transportowa w setach 15:11 i 15:1. Skład zwycięskiego zespołu: Lisiecka, Zur, Fuss, Walasewicz, Pie-

traszek, Batowska. Sędziował uważnie i... pobłażliwie por. Sawoniak. Pobłażliwość sędziego była konieczna. Niestety ochotniczki nasze grają w siatkówkę rzadko i nie nabrały jeszcze potrzebnej wprawy — a szkoda, bo siatkówka jest grą dla kobiet bardzo wskazaną i większe jej rozpowszechnienie w oddziałach P.S.K. zaczyna być sprawą po prostu nagłą. Ale to już nie wiąże się z naprawdę wspólną organizacją samych Igrzysk.

Organizacja czasu wolnego od zajęć, organizacja życia sportowego w oddziałach P.S.K., organizacja treningu sportowego i ćwiczeń gimnastycznych — to sprawy, które muszą ruszyć same ochotniczki wspólnym wysiłkiem i wspólnym zrozumieniem. Daje to pole dla sukcesów polskiej organizacji bez przymusu, organizacji ludzi wolnych. W sporcie męskim zostało to już w pewnym stopniu zrobione.

J. Włodarkiewicz

TREŚĆ NUMERU

- | | | | |
|---|-----------------------|--|---------------------|
| 1. „Tym się tylko żyje, za co się umiera“ | Herminia Naglerowa | 15. Niepokój nocy | Józef Bujnowski |
| 2. Piłsudski | J. Kaden Bandrowski | 16. „Sprawiedliwość sowiecka“ w języku włoskim | St. Włodarz |
| 3. Taczki | Zofia Górską | 17. Moja kwatera | On. |
| 4. Groźby | Jarostaw Żaba | 18. Cicerone w Galerii Pitti | Pen. |
| 5. Czy podam się o amnestię? | Cyprian Norwid | 19. Wystawa „Art-Clubu“ | Henryk Majewski |
| 6. Apel | Cyprian Norwid | 20. Wszystko to już było | |
| 7. Krzyż i piecko | Wanda Heblewska | 21. Święto Niepodległości w Rzymie | K. Lanckorońska |
| 8. Duchów obcowanie | Jedna z szeregu | 22. Kleopatra | Hanka |
| 9. Śp. kpt. Stefania Frołowiczowa | G. Herling-Grudziński | 23. U nas | |
| 10. Warszawski Listopad | Barbara Toporska | 24. Igrzyska sportowe 2. Korpusu | Józef Włodarkiewicz |
| 11. Siódma jesień | Beata Obertyńska | 25. Wizyta w Cadenabii | Ludwik Brzeski |
| 12. Narzeczona Grottgiera | Cezary Gołkowski | 26. Kronika | |
| 13. „Duma o Hetmanie“ - dzisiaj | Jan Bielatowicz | | |
| 14. Owady w bursztynie | | | |

WŁOCHY, 1945 r.

„Ochotniczka“ ukazuje się raz w miesiącu — Cena 20 lirów

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62

„Ochotniczkę“ nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K. w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach